Serya III. Sierpień 1894. Nr. 8.

LISTY I PRZESYŁKI ADRESOWAĆ NALEŻY: DAWN 7, Beaumont Square. Mile End Road London E.

PRZEDŚWIT

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

Przedpłata roczna wynosi: 4 s. — 4 m. — 5 fr. — 1 dol. w kopertach: 5 flor. — 4 r.s.

CZASOPISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE

ORGAN ZWIĄZKU ZAGRANICZNEGO SOCYALISTÓW POLSKICH

ETAPY

NIE o tych etapach będziemy mówili, po których męczennicy nasi od wielu lat długimi łańcuchami podążają na wschód, do „domu niewoli,“ ale o innych bardziej przyjemnych do rozpatrywania, mianowicie o tych formach politycznej swobody, które klasa robotnicza zdobyć może i powinna, nawet przy istnieniu dzisiejszego porządku rzeczy, dla bardziej skutecznej z nim walki. Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, iż kwestya ta dla socyalistów polskich rozstrzygnięta, gdyż zarówno program Z. Z. S. P., uznany obecnie u nas prawie powszechnie, jak i oficyalne wypowiedzenie się P. P. S. w kwestyi stosunku do rewolucyonistów rosyjskich postawiły wyraźnie i niedwuznacznie żądanie niepodległej repuliki demokratycznej polskiej, jako minimum programowe. Jednak tu i owdzie rozlegają się głosy, w naszej prasie socyalistycznej, że przy pewnych warunkach moglibyśmy się pogodzić z konstytucyą rosyjską i przyczynić, o ile by nasze siły na to pozwoliły, do jej wprowadzenia w życie. Głosy te można w sposób następujący sformułować: w rasie, gdyby się znalazł w Rosyi poważny ruch konstytucyjny, obowiązkiem naszym byłoby wypisanie na sztandarze żądania konstytucyi, gdyż zdobycie takowej dałoby nam w każdym razie większą swobodę działania od tej, którą dziś posiadamy; przytem niektórzy dodają, że suma dążeń do niepodległości polaków oraz innych narodowości, uciskanych przez Rosyę, może w swym rezultacie dać Rosyi konstytucyę, do zdobycia której i my powinnibyśmy się przyczynić.

W celu rozsiania powyższych, zdaniem naszem zupełnie błędnych i szkodliwych poglądów przedsięwzięliśmy zrewidowanie ponowne argumentów, przemawiających za naszym programem, uważając, że będzie to najlepszy środek rozsiania wszelkich złudzeń. Oczywista rzecz, że będziemy zmuszeni nieraz powtórzyć to, co przez nas dawniej już było wypowiadane, ale sądzimy, że rzecz wskutek tego nie straci na interesie, zyszcze zaś dużo na dokładności.

I.

Zacznijmy od tego, skąd się dążenie do niepodległości wzięło wśród proletaryatu polskiego? Czy był to jeszcze jeden z wielu „dowcipnych sposobów robienia rewolucyi,“ wymyślony przez jakiegoś polityka, zniechęconego powolnymi postępami socyalizmu w Polsce? Z góry możemy powiedzieć, że nie, a jako dowód posłuży ta okoliczność, że próby wkluczenia żądania niepodległości do programu socyalistycznego datują się prawie od początku istnienia ruchu naszego, tymczasem nie wywołały one żadnego szerszego zainteresowania aż do lat ostatnich, czyli że niewystawianie tego żądania nie pochodziło bynajmniej stąd, że nikt na tę „dowcipną“ myśl nie wpadł, ale stąd widocznie, że nie czas jeszcze było je podnosić.

Co prawda, warunki, które prędzej czy później musiały pchnąć proletaryat polski na tę drogę, istniały już oddawna, ale proces uzewnętrznienia się ich w świadomości ludowej musiał, z natury rzeczy, być powolnym. Najważniejszym z tych warunków było przemienienie się organizmu społecznego polskiego z szlachecko-drobnomieszczańskiego na kapitalistyczny. W Polsce z przed roku 63 szeroki ruch ludowy, skierowany przeciw rządowi rosyjskiemu był niepodobieństwem. Wyjątkowe tylko wypadki, taka np. sytuacya rewolucyjna, jak w r. 1794, mogły go spowodować. W zwykłych czasach chłop i drobnomieszczanin polski nie czuł na sobie dość silnie ucisku rządowego, by módz stworzyć samodzielny, nie oglądający się na inne klasy, ruch polityczny. Stosunki pańszczyźniane, przytwierdzenie do ziemi chłopa (faktyczne w Kongresówce, zaś na Litwie opatrzone oprócz tego sankcyą prawną) czyniły, że

nie stykał on się prawie wcale z rządem rosyjskim. Jeżeli dodamy, że większość urzędników składała się z polaków, to zrozumiemy, dlaczego chłop, z którego podatki darł polak, którego administrował polak i dla którego kwestye polityczne, obchodzące cały kraj, były księgą o siedmiu pieczęciach, — nie mógł przejąć się myślą o niezależności.

To samo, aczkolwiek w mniejszym stopniu, było i u ludu miejskiego. Rzemieślnicy, w cechy zorganizowani, znajdowali w nich oraz w gospodach czeladniczych zadowolenie wszystkich swych życzeń. Ekonomicznie stali oni nie tak źle, ich skromnym potrzebom swobód politycznych czyniły zadość organizacye fachowe, a widok mundurów rosyjskich mógł nie jednego rozdrażniać, ale nie wystarczał dla wywołania poważniejszego ruchu.

Wreszcie ucisk narodowy, ciążył przeważnie na klasach posiadających. Rusyfikacya szkół, która zresztą kwitła tylko za Bugiem, i ucisk prasy dawały się czuć tym, którzy posyłali swe dzieci do szkół i czytali pisma oraz książki. Tymczasem warunki ekonomiczne, wśród których żyli chłopi i drobni mieszczanie, nie czyniły z oświaty rzeczy nieodzownie potrzebnej! Chłop nie umiał czytać i obchodził się doskonale bez nauki, a i wśród czeladzi analfabeta był stałem zjawiskiem; reszta zadawalniała się szkółkami elementarnemi, które do ostatnich lat były polskie.

Wreszcie brak udziału w rządach dawał się czuć także tylko klasom posiadającym, wśród których żyły tradycye respubliki lub rządów konstytucyjnych z przed 1831 r., i żywotne interesy których związane były z mnóstwem praw i rozporządzeń, dowolnie przez rząd rosyjski zmienianych.

Dlatego też w powstaniach dawniejszych dominujący żywioł stanowi szlachta, z nią się łączy część drobnomieszczaństwa, ale bez żadnego samodzielnego programu, chłopi zaś powstają tylko tam, gdzie ich dziedzice potrafili do tego skłonić, wyjąwszy wypadki ucisku religijnego.

Po 63 r. wszystko się to zmienia. Pękają łańcuchy, skuwające dawniej trwałe formy życia wiejskiego, własność ziemska uruchamia się, powstaje liczny proletaryat włościański; dawne ogromne masy chłopów, którzy z po za swej wsi nigdy nosa nie wytknęli, topnieją, a na ich miejsce zjawiają się elementy ruchome, które dziś pracują na wsi, jutro idą do miasta na mularkę, albo najmują się do Poznańskiego, lub nawet jadą „do Bryzolii“ i jeszcze dalej. Ale jeszcze większa przemiana odbywa się po miastach. Miejsce cechowego majsterka i czeladnika zastępuje robotnik fabryczny, a sklepikarza żydowskiego wypierają duże magazyny z tłumami subjektów, buchalterów itp., po większej części chrześcian.

Zmiana ta pociąga za sobą rewolucyę w poglądach. Jeżeli „lud“ dawniejszy, jak widzieliśmy, nie miał poważnych interesów, które by go wrogo względem rządu nastrajały, teraz dzieje się to na każdym kroku. Rozwój przemysłu, który z początku dawał zatrudnienie licznej klasie ludzi i zadawalniał jej skromne potrzeby, prowadzi wkrótce do zatargu pracy z kapitałem. Każdy z takich zatargów poucza klasę robotniczą, jak nieodzowną dla niej rzeczą są stowarzyszenia, kasy strejkowe, wreszcie swoboda zbierania się i strejkowania. Każdy strejk nieudany, każde brutalne poskromienie rzekomo buntujących się robotników jest dla nich lekcyą prawa państwowego, pokazuje im, że dopóty będą nieszczęśliwi, dopóki nie skończą z rządem despotycznym. Wszelkie inne złe strony współczesnego państwa klasowego, jako to podatki pośrednie, wysokie cła na produkty pierwszej potrzeby, instytucye rekrutowania itp. też dają się daleko silniej we znaki robotnikowi fabrycznemu, żyjącemu z dnia na dzień, niż rzemieślnikowi o bycie względnie zabezpieczonym.

Ale nie tylko ucisk polityczny i ekonomiczny silniej jest odczuwany, i poczucie prześladowania narodowościowego przestało być monopolem klas posiadających. Gdy dawniej szkoła była poniekąd zbytkiem dla większej części ludu, teraz stanowi ona dla proletaryatu rzecz pierwszorzędnej wagi. Częste przenoszenie się z miejsca na miejsce, wogóle bardziej skomplikowane stosunki społeczne pociągają za sobą potrzebę pewnego, choćby tylko elementarnego wykształcenia, a rozwój przemysłu i konkurencya robotników obcych każe szukać nauki fachowej. Obojga tych rzeczy despotyczne państwo rosyjskie albo nie daje wcale, albo w języku niezrozumiałym dla ogółu ludności pracującej. Gazeta również staje się potrzebą dla szerokich mas, których horyzont rozszerzył się znacznie wskutek warunków życiowych; tymczasem ta gazeta skrępowana jest przez cenzurę, i nic, oprócz głupich anegdot, dać nie może. Wszystko powyższe stosuje się też, tylko w mniejszym stopniu, do ludności wiejskiej: i tam częste podróże, zastąpienie gospodarstwa naturalnego przez pieniężne, ciągłe stykanie się z władzami rodzą tysiące okazyi, przy których lud przekonywa się o sprzeczności między jego interesami i postępowaniem rządu istniejącego.

Im dalej stosunki się rozwijają, tem bardziej postępuje edukacya polityczna ludu naszego. Wskutek ciągłych kolizyi z rządem zaczyna on rozumieć samą jego istotę, dochodzi do przekonania, że koniecznem jest zastąpienie despoty-

zmu dzisiejszego przynajmniej przez cóś takiego, co by walkę o byt, o gorzki kawałek chleba umożebniało. Ale jakże tego dokonać? Jak uzyskać gwarancyę, że car nie będzie tłumił każdego ruchu robotniczego chmarami swego kozactwa, że nie będzie krępował swobód politycznych, zmuszał do kształcenia się w obcym, niezrozumiałym języku? Tu mimowoli musiała u niejednego powstać myśl, że koniecznem jest przedewszystkiem „wypędzenie z Polski moskala,“ pod czem rozumiano jednocześnie i zniesienie instytucyi despotycznych. Przykład Galicyi, gdzie, pomimo braku ucisku narodowościowego, lud w strasznej jest nędzy, oraz Poznańskiego, gdzie cesarz konstytucyjny potrafi tłumić swobodę i gnębić narodowość, — nie mogły zachęcać do przyłączenia się do któregokolwiek z tych państw, stąd naturalnym rozwojem wypadków musiała powstać myśl o niezależności.

Cały ten proces jednak nie mógł odbyć się w ciągu jednego dnia. Wszak pierwsze poważniejsze starcia robotników z rządem zaszły dopiero w latach 1882 i 1883, a rozpowszechnienie świadomości politycznej na prowincyi dopiero od bardzo niedawna się datuje. Ale każdy rok przykładał swoją cegiełkę, a rosnące fale despotyzmu i ucisku narodowościowego musiały porobić wyłomy w starym murze apatyi politycznej.

Świadomy przejaw tych wszystkich procesów, odgrywających się w łonie proletaryatu polskiego, stanowił ruch socyalistyczny.

W początkach widzimy, że socyaliści polscy zwracają główną swą uwagę na uświadomienie proletaryatowi jego interesów klasowych, nie wystawiają jednak programu akcyi rewolucyjnej i ograniczają się na braniu udziału w drobnych starciach z kapitałem. Wiara w możliwość blizkiej rozprawy z rządem powstaje dopiero później, i to pod wpływem rewolucyjnego ruchu rosyjskiego, którego wzrost zdawał się wróżyć upadek caratu. I wtenczas już, pomimo zażartej walki, jaką toczono z patryotyzmem uważanym za uosobienie reakcyi i antyrewolucyjności, znajdujemy w umowie pomiędzy Proletaryatem a Narodną Wolą ten charakterystyczny ustęp, tyczący się stosunku obu organizacyi po dokonanem zwycięstwie nad rządem:

„W swych pracach konstrukcyjnych Komitet Centralny odłącza się od Komitetu Wykonawczego, jako samodzielna całość i w obrębie swej działalności przeprowadza możebne reformy, stosując się do miejscowych warunków.“

Już wtenczas pojmowano, że zwycięska rewolucya musi pociągnąć za sobą zerwanie więzów politycznych z kolosem rosyjskim, pomimo panującej w szeregach rosyjskich wiary, że w ich „Ziemskim Soborze“ (parlamencie) zasiadać będzie 90 % socyalistów!

Upadek ruchu rosyjskiego wrócił socyalistów polskich do dawnej drogi, aż dopiero wzmożenie się ruchu naszego w latach ostatnich pozwoliło im przejść znowu do programu rewolucyjnego, ale tym razem daleko bardziej jasnego i wyraźniej sformułowanego.

Jednocześnie wzrost ten ruchu usunął dawne niebezpieczeństwo zejścia na tory patryotyczne. Kilkanaście lat walki klasowej i propagandy socyalistycznej zrobiły swoje: proletaryat polski posiada teraz taki zastęp jednostek świadomych, że może podjąć się rozstrzygnięcia wszelkiej kwestyi politycznej i będzie do niej dążył niezłomnie, nie opuszczając jednak ani na chwilę sztandaru socyalistycznego.

Ale te dumne uczucie własnej siły wpłynęło jeszcze na jedną ważną zmianę w pojęciach klasy robotniczej. Oto nie ograniczano się tylko na haśle — precz z rządem najezdniczym! — ale wystawiono także żądanie złączenia wszystkich trzech dzielnic Polski w jedną całość. Oczywista rzecz, że żądanie takie mogło powstać tylko przy znacznem bardzo wzmożeniu się ruchu, gdyż poprzednio byłoby ono tak widocznie utopijnem, że istnieć mogło chyba tylko w głowach pojedyńczych jednostek.

Pod zaborem rosyjskim dążenie do uzyskania całej i niepodzielnej Polski wyraziło się przedewszystkiem w programie naszym, w którym wyraźnie postawiona jest kwestya republiki polskiej, oraz w szeregu rezolucyi, tyczących się stosunku obcych narodowości, na ziemiach dawnej Polski mieszkających. Podczas gdy Proletaryat w swej umowie z Narodną Wolą przewidywał tylko wypadek zwycięstwa rewolucyi nad caratem, teraz socyaliści polscy idą dalej i powiadają, że zjednoczenie wszystkich ziem polskich stanowi potrzebę życiową proletaryatu polskiego i że do celu tego dążyć będą. Zarazem starają się oni wciągnąć w zakres swego działania i zsolidaryzować z sobą partye socyalistyczne tych narodów, które jedną ziemię z nimi zamieszkują, w razie zaś potrzeby nie zawahają się przed żmudną pracą rozbudzenia wśród klas pracujących tych narodowości ruchu socyalistycznego.

Przyznać należy, że zrozumienie „międzypaństwowości“ ruchu naszego zawsze silnie było w zaborze rosyjskim rozwinięte; nie skończylibyśmy nigdy, wyliczając wszystkich emisaryuszy, którzy udali się do Galicyi, czy też do Poznańskiego, ale i w tym wypadku formalne ujęcie programowe poczucia jedności kazało na siebie do ostatnich lat czekać. Jednak jeszcze bardziej ciekawym jest powyższy rozwój poglądów w dwóch pozostałych zaborach, w których

rządy konstytucyjne nie czynią kwestyi tak palącą, jak pod knutem carskim.

Przypatrzmy się przedewszystkiem zaborowi austryackiemu. Galicya, ten klasyczny kraj tromtadracyi patryotycznej dawała poprzednio najbardziej zaciętych oponentów idei państwa polskiego. Nic w tem dziwnego. Warcholstwo pseudo-demokratycznych patryotów, ich brak wiary w ciągle głoszone hasła „wolności, równości i niepodległości“ — tak były widoczne, że każdy trzeźwo myślący socyalista musiał przedewszystkiem dążyć do wyrwania ludu z pod ich wpływu. W tym celu trzeba było toczyć walkę na zabój z ich doktrynami, co też robiono z nielada powodzeniem. Ale gdy na miejsce dawnych tajnych i nielicznych kółek powstały towarzystwa liczące po tysiąc i więcej członków, gdy się zaczęło odbywać po kilkaset zebrań publicznych w ciągu jednego roku, a 1-go maja dziesiątki tysięcy robotników pokryły ulice nietylko miast, ale nawet odległych, górskich wioseczek, wtedy proletaryat poczuł swą siłę i zrozumiał, że powinien pochwycić oręż, który wypadał z niedołężnej ręki demokraty. Oświadczenia socyalistów galicyjskich są w kwestyi niepodległej i zjednoczonej Polski na tyle wyraźne, ile na to pozwala c. k. konstytucya rakuzka, a robotnik z Warszawy i Wilna może być pewny, że w chwili rozprawy ostatecznej bracia z tamtej strony kordonu z pomocą mu pośpieszą. A demokratyczny łyk galicyjski, króry wprzódy wyrzucał socyalistom ich „antynarodowość,“ z chwilą wystąpienia na widownię polityczną zastępów robotniczych, skurczył się i wyrzekł nietylko ojczyzny niepodległej, ale nawet zwyczajnej autonomii galicyjskiej, byle by tylko nie stracić opieki również, jak i cn „patryotycznej“ policyi.

W Poznańskiem wreszcie trudno mówić dotąd o rzeczywistym, masowym ruchu socyalistycznym, ale charakterystyczną jest rzeczą, że i tam, zaledwo się ukonstytuowała P. P. S. z pod zaboru pruskiego, znajdujemy oficyalne zsolidaryzowanie się Zarządu P. P. S., z naszym programem z okazyi napaści, czynionych na nas przez niemieckich „niezależnych,“ sprzymierzeńców zuryskich „organicznie złączonych z Rosyą“ socyaldemokratów. Ob. Berfus, przewodniczący Zarządu P. P. S. przypomina tam, że prawdziwi socyaliści niemieccy, jak Liebknecht, Bebel i Engels nie raz już „kładli nacisk na ważne znaczenie niepodległości Polski dla Międzynarodówki“ i kończy swój artykuł zdaniem : „my polacy uważamy za jedną z najsilniejszych gwarancyi międzynarodowej świadomości i solidarności wolność narodową, polityczną i ekonomiczną.“

Widzimy więc, że żądanie niepodległej republiki demokratycznej stanowi bezpośredni wynik uświadomienia sobie swych interesów ekonomicznych i politycznych przez polskie klasy pracujące, jest zatem zjawiskiem, które prędzej czy później musiało nastąpić. Ale chociaż czynniki, które popchnęły proletaryat polski na tę drogę, od dawna już pracują, jednak formalne przyjęcie powyższego żądania przez ogół socyalistów polskich od niedawna dopiero się datuje, nic zatem dziwnego, że tu i owdzie spotykają się jeszcze głosy, niechętne podobnemu postawieniu kwestyi i wróżące stąd złe skutki dla klasy robotniczej. Rozpatrzeniem tych głosów oraz korzyści, których się polska klasa robotnicza może od niezależnej republiki demokratycznej spodziewać, zajmiemy się w numerach następnych.

POLSKA W AMERYCE

Osobom, interesującym się historyą i rozwojem polskiej emigracyi w Ameryce, należy się już oddawna sprawozdanie, przedstawiające faktyczny obraz takowej.

Co prawda, obrazów najrozmaitszych kształtów i kolorów nie brakowało, wszakże cechuje je przedewszystkiem ta wielka wada, że malowane są z ciasnego, jaskrawo subjektywnego poglądu. Wiele osobistości skreślało krótsze lub dłuższe artykuliki dla prasy krajowej, interesującej się od kilku zwłaszcza lat prądem wychodźczym, ale zawsze bez dostatecznej znajomości kraju i ludzi. Z prac większych rozmiarów z tej dziedziny zasługuje na uwagę książka prof. Emila Habdank Dunikowskiego, który w jakiejś podobno „tajemnej misyi“ zwiedził rok temu przeszło kolonie polskie w Stanach Zjednoczonych i złożył swe uwagi i wrażenia w dziele, wydanem we Lwowie. Są tam niektóre komentarze i cyfry, mające pewną wartość, ale jest więcej jeszcze fałszywych wywodów i niewłaściwe pojmowanie zjawisk, na które się patrzało oczyma dziekana c. k. uniwersytetu we Lwowie. Zresztą prof. Dunikowski poświęca w swej książce za wiele miejsca opisom festynów, wyprawianych na jego cześć, i hymnom pochwalnym dla osobistości „tchnących patryotyzmem“, a które go po królewsku przyjęły.

Jest to wogóle ciekawe zjawisko, że wśród milion przeszło głów liczącej emigracyi polskiej w Stanach Zjednoczonych krajowe dziennikarstwo polskie prawie że niezdolnem jest wyszukać sobie kompetentnych i stałych korespondentów. Podczas gdy nieliczne kolonie wychodźtwa polskiego w Szwajcaryi, Paryżu, Anglii a nawet w Rumunii zasilają wydawnictwa krajowe regularnemi wiadomościami z życia i prądów, w nich nurtujących, milionowa emigracya Ameryki Północnej rzadko bardzo, a jeśli daje, to niewyraźny znak swego istnienia. Przyczyn tego nie należy daleko szukać. Dopiero od lat blizko 10, wraz z masowym prądem wiejskiego i małomiejskiego proletaryatu, napływają do wybrzeży Stanów Zjednoczonych indywidua zdolne „od biedy“ skreślić przyzwoitą informacyjną korespondencyę do jakiego pisma.

Ruch wychodźczy polskiego robotnika miejskiego i wiejskiego datuje się od roku 1880. Były już i przed-

tem jednostki a nawet setki ludzi, rozrzucone po miejscowościach fabrycznych Stanów, atoli dopiero w owym roku wszczęła się gromadna, iście zastraszających rozmiarów emigracya robotnika polskiego. Po ostatniem, nieszczęsnem powstaniu kilku wybitniejszych nawet jego uczestników schroniło się także do tej rzeczypospolitej. Wielu z nich dobiło się stanowiska i majątku. Ale bo też to byli ludzie energii, zaprawionej sporą dozą wytrwałości i przytem, przyznać należy, indywidualności zdolne.

Napływające od 1880 r. i wzmagające się z dniem każdym wychodźtwo rozrzuciło się po całym obszarze tego kraju, kierując się bardziej pobudkami trafnego instynktu, jak obrachowania, stosownie do swych części składowych. Zbankrutowani rolnicy i ich chałupnicy lub niezadowolone z „łaski pańskiej" dworskie i kmiece parobczaki, wynajmowali się w „country" czyli do półdzikich jeszcze, bardzo mało zaludnionych osad farmerów t. j. rolników amerykańskich. Niektórzy z nich, mając coś grosza i przy nader nizkiej cenie ziemi, stali się odrazu niezależnymi gospodarzami. Drudzy pracowali lat kilka dla amerykańskiego farmera, biorąc przeciętnie 10 do 15 dolarów*) na miesiąc i znośny wikt. Skutkiem nieodczuwania innych potrzeb nad czysto fizyczne, zwykle umieli oni w ciągu kilku lat uciułać kilkaset dolarów. Dosyć, by się stać „panami na swym gruncie". Należy wzmiankować, że częstokroć małżeństwo, zawarte z córką zamożnego rolnika, przyczyniało się wielce do tworzenia właścicieli ziemskich. Skoro lud polski, z natury skłonny do nabożności, osiedlił się tylko w znaczniejszej liczbie, gdyby nawet w 50 rodzin, skoro tylko dorobił się coś grosza, myślał zaraz o wybudowaniu swego własnego kościołka i sprowadzeniu doń polskiego księdza. Tym sposobem powstały tak liczne w Stanach Zjednoczonych polskie parafie.

Rzemieślnicy i pewna część chłopstwa jakoteż małomieszczan z prowincyonalnych miasteczek i osad wszystkich trzech zaborów skupiła się w dużych i małych centrach przemysłu amerykańskiego. Z natury rzeczy, Wschód Stanów Zjednoczonych, bardziej przemysłowy, mieści prócz Chicago trzy czwarte polskiej emigracyi rzemieślniczej, a Zachód prawie całe wychodźtwo rolnicze. Emigranci polscy, którzy nie posiadali rzemiosła i którzy nie mieli chęci zwozić gnój i doić krowy na fermach, stali się wyrobnikami w fabrykach wyrobów galanteryjnych, płóciennych, żelaznych, w rafineryach cukrowych, młynach, smolarniach, parowych tartakach, cegłarniach.

Przemysł górniczy spoczywał do r. 1886 w rękach robotników amerykańskich, irlandzkich, angielskich, niemieckich i szkockich. Potężna organizacya górników obejmowała setki tysięcy ludzi i w wielu wypadkach stawiała z pomyślnym skutkiem opór wyzyskowi pracodawców. Uzyskane skutkiem tego zaufanie do swojej organizacyi nie wytrzymało próby u górników, skoro jeden i drugi strejk nie udał się. Przegrane strejki pociągnęły za sobą obniżenie płac. Wielu górników poszło szukać korzystniejszego zajęcia. Spekulanci, handlujący ciałem ludzkiem, poczęli wtedy masami sprowadzać ciemnego chłopa polskiego i słowackiego górala. Wiejski parobczak lub komornik, co zarabiał w swym kraju 30 - 60 centów za 15-godzinną ciężką pracę dzienną, przekonał się ze zdumieniem, że tu na ziemi amerykańskiej może, po wyuczeniu się roboty górnika w kopalniach węgla, zarobić od 10 do 15 dolarów na tydzień przy 8 do 10-godzinnej pracy na dobę. Nie wpatrując się głębiej w stan rzeczy, nie zdawał sobie na razie sprawy z tego, z jakiemi to codziennemi niebezpieczeństwami połączone jest zajęcie górnika, że praca jest nader ciężka i przygniatająca rychło siły ducha i ciała.

W listach, pisanych do krewniaków i znajomych w Polsce, roznoszono sławę tej mlekiem i miodem płynącej krainy. Dołączane do korespondencyi przekazy pieniężne na karty okrętowe zawróciły do reszty głowy. Rozpoczęła się masowa pielgrzymka wieśniaka polskiego do amerykańskich centrów górniczych. W przeciągu 5 lat tysiące chłopków polskich, obdarzonych nader skromnemi potrzebami, wyrugowało robotnika anglo - saskiego z kopalni węgla w stanie Pensylwanii. Małe potrzeby wschodnio - europejskich przybyszów jeszcze bardziej obniżyły dotychczasowe zarobki. Nieistniejące prawie u wieśniaka poczucie solidarności, podejrzliwość w stosunkach z obcokrajowcami, zwłaszcza pochodzącymi z Niemiec lub większych centrów St. Zjedn. i Anglii, nieznajomość krajowego języka i inne przyczyny, o których będzie później wspomniane, stanowiły niemałe przeszkody dla robotników amerykańskich, należących do zakonu „Rycerzy Pracy" (Knights of Labour), usiłujących wciągnąć do organizacyi górników polskich. Zresztą raz już na pewien krótki czas zorganizowani, opuszczali górnicy polscy i słowaccy szeregi armii robotniczej po pierwszej nieudanej potyczce z miliardowym kapitałem. Niemniej trudno było zrzeszyć górników — skandynawczyków i włochów. Dzięki temu od lat czterech płaca górnicza w Ameryce Północnej spadła na poziom tak nizki, że niewiele a dorówna europejskiej. To też rok rocznie, z rozpoczęciem wiosny, prawie że rozpaczliwe położenie górników w stanach Pensylwanii i Ohio wywołuje tu i owdzie porzucenie pracy i utarczki zorganizowanych górników z t. zw. „scabs" czyli robotnikami, nienależącymi do żadnego stowarzyszenia górniczego.

Atoli przed dwoma miesiącami ciekawe widowisko miało miejsce. Opinia publiczna, o ile takowa dotyczy się klasy robotniczej, uważała zawsze dotąd robotnika polskiego, litewskiego, szlązaka i włocha za „scab'a", odbierającego chleb robotnikowi anglo - saskiemu, mającemu większe potrzeby i żądającemu lepszych płac. Dotychczas faktycznie rzecz tak się przedstawiała, kiedy pod koniec marca b. r. wybuchł strejk górników pensylwańskich (w Connelsville i Uniontown, blizko Pittsburgu), których większość nie była nawet zorganizowaną. I cóż się okazało? Oto tym razem strejkowali po większej części przybysze ze Wschodu Europy — polacy, litwini i słowacy, a „scabami" byli amerykanie i irlandczycy.

O położeniu materyalnem górnika amerykańskiego w kopalniach węgla dadzą wyobrażenie następujące cyfry, wyjęte z urzędowych ksiąg urzędnika pewnej miny w stanie Ohio za przeciąg 8 miesięcy w r. 1893:

Przeciętna ilość dni roboczych na miesiąc . . .	$14 \frac{1}{2}$
Przeciętny zarobek dzienny	2,00 dol.
„ „ miesięczny	29,00 „
Przeciętne wydatki górnika na miesiąc:	
Komorne	6,00 „
Opał	0,70 „
Proch	1,50 „
Ostrzenie narzędzi	1,90 „
Razem .	10,10 „

Najwyższy przeciętny zarobek miesięczny stanowiło 36 dol. 83 cent. Najniższy w minie, gdzie pracowano $14 \frac{1}{2}$ dni, 1,85 dol. dziennie. W pewnej kopalni pracowano w przeciągu 6 miesięcy tylko 6 tygodni. Zarobki spadły o 28% czyli zniżono płacę od tony z 70 na 50 centów. Wobec tego nie należy się dziwić, że potulny robotnik polski i litewski stracił cierpliwość i szukał w strejku ulgi.

Przeciętny zarobek wyrobnika polskiego w fabrykach płótna, blachy, w cegłarniach, rafineryach cukru,

*) Dolar równa się 2 rs.

młynach i tartakach parowych wynosi od 6 do 10 dol. na tydzień. Regularnie co roku musi on przytem niedobrowolnie odpoczywać kilka tygodni, gdyż fabryki używają tych wakacyi na reperacye, zmiany systemu, obliczenie inwentarza itp. Tak się dzieje, gdy czasy są spokojne i handel idzie zwykłym trybem. Z nastaniem regularnie w Ameryce powtarzających się kryzysów, jak obecny, wakacye robotnika przedłużają się czasami do 6 miesięcy w roku. Wtedy przeciętny zarobek roczny polskiego najmity wynosi 3 - 4 dol. na tydzień.

Należy zauważyć, że polskiemu robotnikowi, skutkiem nieznajomości krajowego języka i stosunków, trudniej znacznie przychodzi niż tubylcowi otrzymać lepiej płatne miejsca. Dlatego przeciętny zarobek polskiego stolarza stanowi 6 - 15 dol. tygodniowo, ślusarza 8 - 16, krawca 6 - 12, szewca 6 - 10. Polscy murarze i cieśle muszą po większych miastach należeć do organizacyi swych amerykańskich kolegów zawodowych. Płaca, przyjęta przez związki takowych, wynosi w dobrym sezonie — 5 do 7 miesięcy roboty w roku — 2,75 do 4 dol. dziennie przy 8 - 9 $^1/_2$ godzinnej pracy. Stelmachy i tapicerzy polscy zmuszeni są pracować w najgorzej płatnych zakładach. Pierwsi zatrudnieni są przeciętnie 4 do 6 miesięcy na rok przy płacy 9 - 14 dol. tygodniowo. Tapicerzy robią po większej części 3 - 5 miesięcy, pobierając 10 - 16 dol. tygodniowo. Malarze zatrudnieni są prawie bez wyjątku 4 - 6 miesięcy w roku. Zarobek przeciętny — 2 - 3 dol. na dzień przy 8 - 10 godzinnej pracy. Kuśnierze — polaków jest niewielu — robią 6 - 8 miesięcy. Płaca — 12 do 18 dol. na tydzień.

Powyższe cyfry tyczą się jedynie miast, jak New York, Chicago, Filadelfia, Boston, Milwaukee. Najlepsze płace są w New-Yorku. W Chicago płace niższe o 5 - 15%. W małych prowincyonalnych miastach o 20.000 - 100.000 mieszkańców, dzień roboczy dłuższy a płaca mniejsza o 10 - 25%. Wszakże nieco stalsza.

Robotnik polski w New-Yorku zamieszkuje przeciętnie 3 - 4 pokoje, jeśli ma rodzinę. Komorne w tym razie wynosi 9 - 15 dol. na miesiąc. W Chicago komorne tańsze o 10 - 20%. W małych prowincyonalnych miastach można dostać domek o 4 - 8 pokojach za 6 - 12 dol. miesięcznie. Robotnik, mający oszczędną żonę i córki, ma się zazwyczaj lepiej niż kawaler. Faktem jest bowiem dowiedzionym, że kobiecie w St. Zjedn. nierównie łatwiej jest otrzymać zajęcie, niż mężczyźnie, zwłaszcza w charakterze sługi w domach zamożniejszych. Tysiące polskich dziewcząt pędzi w ten sposób swe życie. Płaca polskiej służącej w zamożnym domu amerykańskim lub niemieckim wynosi 10 - 18 dol. miesięcznie. W New Yorku, gdzie się znajduje więcej polsko-rosyjskich żydów, niż w całych St. Zjedn., razem wziętych, duży procent dziewcząt polskich, znających tylko swój język ojczysty, dostaje się prosto z portu New-Yorskiego (dawniej Castle-Garden, teraz Ellis Island) na służbę do tych polsko-rosyjsko-żydowskich rodzin. Naturalnie, że taka biedna „zielona“ dziewczyna (greenhoon) podlega w wielu wypadkach haniebnemu wyzyskowi. Jej „żydowskie państwo“ nie tylko że jej daje mniej swobodnego czasu (wychodne) i żąda spełniania robót, których nie podjęłaby się służąca irlandzka i niemiecka, ale zazwyczaj daje jej wynagrodzenie mniejsze o 5 do 8 dolarów na miesiąc, niż rodzina amerykańska.

Zwłaszcza w restauracyach, utrzymywanych przez żydów węgierskich, polskich i rosyjskich, traktowanie nieporadnych ofiar nieznanych im stosunków w Nowym Świecie godnem jest Rosyi i Galicyi.

W liczbie przeszło milionowej emigracyi polskiej w Ameryce znajduje się w stosunku do innych narodowości w tym kraju bardzo niewielu przemysłowców i wogóle pracodawców. Śmiało twierdzić można, że milion polaków w St. Zjedn. to proletaryat w całem i najgorszem tego słowa znaczeniu. W Chicago, stolicy „Polski w Ameryce“ albo według terminologii Dr. Dunikowskiego „czwartej dzielnicy polskiej“, kilkudziesięciu polaków posiada składy towarów, agentury handlowe i biura kart okrętowych, sprzedaży ziemi na uprawę oraz budowę domów, no i rozumie się — karczmy. Zwłaszcza te ostatnie! Handel wódką i piwem reprezentuje wogóle $^3/_4$ „przemysłu“ polsko-amerykańskiego. Niejeden robotnik polski, uciuławszy sobie kilkaset dolarów, myśli tylko o tem, że i jemu warto by iść „w kupcy“ czyli po amerykańsku „zostać businessman'em“, i otwiera „saloon“ t. j. szynk.

Z góry można być przekonanym, że w najmniejszej kolonii polskiej istnieje prócz kościoła szynk albo odwrotnie! W czasach ostatnich wielu szewców i krawców polaków otworzyło własne magazyny, ale w rzadkich wypadkach tego rodzaju przedsiębiorcy cieszą się rzeczywistem poparciem swych rodaków. Solidarność ludu naszego w Ameryce pod tym względem pozostawia wiele do życzenia, mimo sążnistych ogłoszeń w tutejszych gazetach polskich, nawołujących gorąco, by „popierać tylko swych rodaków“, „kupujcie tylko u swoich“, „nie popierajcie żydów i niemców“ itp.

Fakt, że szynkarstwo, w Galicyi i pod zaborem rosyjskim stanowiące niejako monopol żydów, w St. Zjedn., o ile się ono dotyczy klienteli polskiej, znajduje się wyłącznie w rękach prawowitych polaków-katolików, świadczy o tem, jak potężnie inne stosunki, otoczenie i warunki bytowe wpływają na słabo rozwinięty u polaków instynkt handlowo-zarobkowy.

Karczmarze polscy stanowią wśród emigracyi naszej żywioł nielada ważny i w większości — fatalny. Utrzymujący ich swym centem robotnik polski ma ich w poszanowaniu, „boć to przecie businessman“. Szynkarze i ich zainteresowani przyjaciele założyli większość towarzystw polskich w Ameryce, o ile takowe nie wyszły bezpośrednio z łona odnośnej parafii. Szynkarze stanowią duży procent w liczbie prezesów i innych dygnitarzy w towarzystwach „wojskowych i patryotycznych“, szynkarze w wielu koloniach trzęsą opinią publiczną, szynkarze są zazwyczaj kierownikami t. zw. politycznych klubów polskich, sprzedających głosy swych członków jednej z obu potężnych partyi burżuazyi amerykańskiej. Szynkarze, konkurujący między sobą, częstokroć stwarzają w polskich dzielnicach kłótnie i partye, wpływają od czasu do czasu na kierunek naszego „dziennikarstwa“, wysuwają się na pozycye reprezentantów „polskiego narodu“ w Ameryce i celem ściągania braci na piwo u siebie wpisują się jednocześnie do tuzina najrozmaitszych towarzystw.

Cyfry emigracyi naszej, osiadłej w miastach i osadach St. Zjedn., trudno określić dokładnie, gdyż wielu polaków z pod zaboru austryackiego i pruskiego podaje się przy zarządzanych w pewnych odstępach czasu spisach ludności za poddanych austryackich i pruskich, względnie „prusaków“ i „austryaków“. Gazety tutejsze polskie oznaczają, jako ogólną liczbę, półtora miliona. Suma to przesadzona; nie ulega wszakże kwestyi, że w granicach St. Zjedn. znajduje się przeszło milion polaków. W Chicago liczą ich na przeszło 50.000, Milwaukee 40.000, Buffalo tyleż, Cleveland (st. Ohio) 15.000, Filadelfia 15.000, Toledo 10.000, tyleż w Detroit (st. Michigan) i w Baltimore (st. Maryland). W okręgu górniczym Pittsburgu w Pensylwanii ma być 15.000 polaków. Po 5.000 mają mieć New-York, Brooklyn i Jersey City (tuż obok), St. Paul (st. Minnesota), Indianopolis i Winona w tymże

samym stanie, Manistee (st. Michigan), St. Louis, Kansas City, Omaha, Bay City (st. Michigan), South Bend (st. Indiana), Grand Rapids (st. Michigan), Scranton, Nanticoke, Plymouth, Wilkesbarre, Shenandoah, Alleghany City — wszystko miejscowości górnicze w Pensylwanii. Kolonie polskie, liczące od 1.000 do 3.000 dusz, znajdują się w stanie New-Yorskim: w Syracuse, Rochester, Utica, Albany, Elmira, Dunkirk, Aubuon i Troy; w st. Massachusets: w Boston, Fall River, Lynn, Pittsfield. Kilkaset rodzin zamieszkuje dalekie San Francisko w Kalifornii i San Antonio w półdzikim jeszcze Texas. Zresztą można twierdzić, że niema w St. Zjedn. miejscowości, z wyjątkiem stanów południowych jak Wirginia, Karolina północna i południowa, Luiziana i Tennessee, gdzie by nie się nie dawało znaleść choć garstki polaków, czy to w charakterze rolników, czy najmitów fabrycznych, a wreszcie samodzielnych majstrów kunsztu szewckiego i krawieckiego. Podczas gdy stany północno - zachodnie jak Michigan, Minnesota, Indiana, Arkansas i Nebraska, przy klimacie odpowiadającym przeciętnie naszemu, ściągają większość robotnika polnego i leśnego, wysoce rozwinięty przemysł na Wschodzie Unii, jako to stany New-York, New-Jersey, Massachusets i Connecticut skupiają $^3/_4$ polskiego robotnika fabrycznego. Wyżej podane stany południowe, skutkiem gorącego klimatu, w wielu miejscowościach wprost szkodliwego dla północnego europejczyka, a także dzięki liczebnej przewadze ludności murzyńskiej, dotychczas nie zdołały zwrócić do siebie prądu naszej emigracyi. Z innych stanów najmniej znajduje się polaków w Maine, Vermont, New Hampshire i Rhode Island. Przemysł tamże słaby, a ludność ich, od wieków osiadła i nie bardzo zmieszana z nowszymi nie anglo - saskimi żywiołami emigracyi, trudni się przeważnie rybołówstwem i hodowlą bydła.

I.

Człowiek, nieobeznany z tutejszymi warunkami życia, mógłby po przejrzeniu listy polskich towarzystw w Stanach Zjedn. nabrać przekonania o wysokim stopniu kulturalnym emigracyi naszej. W kraju z góry uważa się ludzi, należących do jakiegokolwiek towarzystwa, za inteligencyę. W istocie liczba polskich towarzystw w St. Zjedn., aczkolwiek nie tak wielka w porównaniu do masy towarzystw i klubów wśród narodowości anglo - amerykańskiej i germańskiej, może jednak imponować. Polski robotnik i chłopek - emigrant, zapędzony w te strony dalekie, znalazł się na wstępie do kraju w otoczeniu innych wcale warunków życia, innych dążności, obcych mu zwyczajów uświęconych półwiekową tradycyą, obcego żywiołu mówiącego dziwnym dlań językiem, — mimowoli i z przyczyn naturalnych szukać musiał punktów oparcia u swoich ziomków.

Początkowo wzajemne stosunki kolonistów polskich ograniczały się na wspólnych schadzkach u którego z sąsiadów i znajomych, gdzie przy szklance wódki lub piwa gawędzono o swych rodzinach i krewniakach tam w „starym świecie", porównywano amerykańskie życie, uciechy, kłopoty i zarobki z takiemiż w Polsce i częstokroć pocieszano się nadzieją powrotu do ojczyzny. Marsze umundurowanych członków z hałaśliwą muzyką na czele, zabawy letnie czyli „pikniki", wreszcie bale urządzane przez liczne towarzystwa anglo - i niemiecko - amerykańskie bez uprzedniego starania się o zezwolenie policyi i władz miejskich, podziałały dosyć mocno na wrażliwy umysł emigranta polskiego i dały pohop do tego, że myśl naszego rolnika nawet zwróciła się w tę stronę. Objaw to nader ważny, jeśli się bierze pod uwagę, że 95% wychodźtwa polskiego nie należało do towarzystw u siebie w domu, gdy przeciwnie u robotnika, pochodzącego z Anglii i krajów niemieckich, łączenie się w rozmaite stowarzyszenia i kółka przeszło w zwyczaj. Przynajmniej od lat już 30 robotnik angielski i niemiecki, a nawet chłop, należy do jakiejś organizacyi.

Przyznać należy, że myśl łączenia wychodźtwa naszego w stałe towarzystwa wyszła najpierw od księży. Tak dla lepszej kontroli swych owieczek, jak i ściślejszego zsolidaryzowania ich z interesami proboszcza i kościoła oraz celem trzymania ich zdala od stowarzyszeń, nie ulegających bezpośrednio władzy kościoła katolickiego, a hołdujących może w mniejszym lub większym stopniu liberalizmowi, — poczęli oni skupiać swych parafian w towarzystwa, celem których miało być prócz wzajemnej pomocy w razie choroby i śmierci członka, pielęgnowanie św. religii katolickiej, wstrzemięźliwość, moralność i bezwarunkowa uległość dla księdza. Tenże zazwyczaj w towarzystwie, przez niego kreowanem, wybieranym był na urząd prezydenta a conajmniej doradcy duchownego.

Toż niema dziś w Ameryce kolonii polskiej, o ile się tylko osiedli w niej kilka tuzinów rodzin, gdzie by nie istniały towarzystwa, składające się z naszych Maćków i Bartków oraz z proletaryuszy kominów fabrycznych i min, ochrzczone przez swych założycieli — księży i najbardziej takowym oddanych parafian — jako Towarzystwa św. Piotra i Pawła, Józefa, Stanisława, Jana Chrzciciela, Franciszka, Wojciecha, Michała i Walentego, Jacka i Kazimierza, Najsłodszego Serca Jezus, Najświętszej Maryi Panny Szkaplerznej i Nieustającej Pomocy Maryi Panny, Cyryla i Metodego a wreszcie — Ignacego Lojoli. Nazwy te wzięte są ze spisu grup, należących do kasy zapomóg w razie śmierci centralnego związku towarzystw kościelnych pod nazwą: „Zjednoczenie Polsko - Rzymsko - Katolickie P. O. B. S. J. (Pod Opieką Błogosławionego Serca Jezus) w Ameryce". Związek ten, założony przed ośmiu laty i stojący pod bezpośrednią kontrolą księży polskich, liczy koło 180 grup z 10.000 członków. Wydaje on organ urzędowy, redagowany przez księży, p. n. „Wiara i Ojczyzna" w Chicago.

Skutkiem intryg i ambicyi kilku innych księży, głównie osławionego Pitassa w Buffalo, powstała druga centralizacya towarzystw kościelnych pod firmą „Unia Polska w Ameryce". Składa się ona z 28 grup z blizko 3.000 członków i posiada również, w zeszłorocznej konwencyi przyjęty, organ urzędowy p. n. „Polak w Ameryce", wydawany przez ks. Pitassa w Buffalo. Redaktorem tego pisma, wychodzącego dwa razy na tydzień o 4 stronicach ogromnego formatu, jest niejaki Stanisław Ślisz, indywiduum dosyć wykształcone i obdarzone zdolnościami literackiemi, ale zapite i pozbawione honoru, wstydu i męztwa. Gazeta jego, będąc stekiem brudnych wyzwisk i oszczerstw na inne, niepodzielające jego poglądów pisma, polemizująca nawet w sprawach żywotnych w stylu karczemnym, uważaną jest przez inne pisma, wcale także nie grzeszące skromnością w epitetach, jako — wyrażając się stylem dziennikarstwa polsko - amerykańskiego — „brudna, skandaliczna płachta i ścierka" oraz „cuchnąca kloaka". A już co do ujadania na socyalistów i niedowiarków religijnych, to „Polak w Ameryce" nie ma sobie równego. W tym względzie szpalty jego roją się od „łotrów, drabów, uliczników, kryminalistów, szubieniczników, synów Belzebuba, Szatana i Mefistofelesa".

„Wiara i Ojczyzna" umieszcza również od czasu do czasu artykuły, zwrócone przeciwko socyalizmowi i niereligijności, wszakże nie tak krzykliwe. Ma nawet pretensye do „naukowego" traktowania rzeczy, z czego już wypływa, że artykuły tego pisma, o 8 stronnicach wychodzącego raz na tydzień, naszpikowane są frazesami łacińskimi, których napewno nie pojmuje 9 na 10 czytelników. Członkowie obu tych

związków — „Zjednoczenia Rzymsko-Kat." i „Unii" — zobowiązani są prenumerować organ urzędowy. Jeśli się weźmie pod uwagę, że są to ludzie częstokroć bez najelementarniejszego okrzesania, wielu analfabetów, że $^3/_4$ z nich umie zaledwo czytać i że ślepo oddani są kościołowi i swym proboszczom, to można sobie wyobrazić, ile zdrowych z natury umysłów z pomiędzy naszego chłopstwa i robotników miejskich systematycznie się zatruwa.

Pozostali jeszcze przy życiu emigranci - powstańcy z r. 1863 oraz inteligentniejsze jednostki, stawiające interesy narodowościowo - polskie wyżej nad ideę katolicką i interesy kościoła, zorganizowali w miejscowościach, mieszczących prócz wyrobnika i chłopa bardziej otartych w świecie rzemieślników, towarzystwa „narodowe", patryotyczne lub wojskowe. Bez różnicy charakteru lub nazwy mają one wszystkie na pierwszym planie bratnią pomoc na wypadek choroby lub śmierci, a następnie pielęgnowanie „idei narodowej", zwyczajów i cnót „praojców naszych" i urządzanie obchodów, celem uświęcania pamięci bohaterskich wysiłków narodu polskiego. Nazwy, które sobie te organizacye nadają, brzmią w niektórych wypadkach jeszcze szumniej lub śmieszniej od firm towarzystw kościelnych. Spotykamy się tu z „Rycerzami Jadwigi, Królowej Polskiej", „Huzarami Stefana Batorego", „Ułanami Jana III Sobieskiego", „Synami Korony Polskiej, Ojczyzny, Matki Polski i Kościuszki", dalej z „Kwiatem Młodzieży i Rycerstwa Polskiego", z „Gwiazdami Wolności" itp. Jest także kilkanaście towarzystw „dramatycznych" czyli poświęconych uprawianiu sztuki teatralnej, kilka towarzystw śpiewu w Chicago, Milwaukee, Brooklynie, New-Yorku i Cleveland. W ostatnich czasach powstało również kilkanaście oddziałów „Sokoła Polskiego". Ten ostatni prócz swych dążności, odpowiadających celom innych narodowo - patryotycznych towarzystw, zajmuje się gimnastyką. Rzecz to wogóle koniecznie potrzebna i wpływająca i z innych względów korzystnie na młodzież robotniczą, stanowiącą większość oddziałów sokolich. Wszakże kwestya socyalna i u „Sokołów" wykreśloną jest z programu. Mając regulaminy i zasady oparte na takichże Sokołów galicyjskich, uważają za najstosowniejsze zajmować się wzdychaniem za „smętnie w obłokach wznoszącym się orłem białym" i oczekiwaniem chwili, kiedy „Stwórca przywróci Polskę w dawnym jej blasku i potędze". Przed trzema laty oddziały Sokołów związały się w jedno ciało. Dumą Związku Sokołów jest niejaki Żychliński w Chicago, człowiek „liberalnych przekonań" i patryota. Zresztą Sokoły mają stanowić korpus, który, gdy „wybije godzina oswobodzenia Polski", wyruszyć ma ojczyznie na pomoc. Należy się spodziewać, że to nie czczy frazes. Sokoły zrazili sobie w niektórych miejscach księży tem, że tworzą oddziały kobiet - Sokołek. Naszym wielebnym, coby chcieli widzieć kobietę jedynie w charakterze grzesznicy, odmawiającej pacierze, to się jakoś niepodoba i „Polak w Ameryce" zwłaszcza puszcza w tym względzie uczuciom swym wodze w sposób nader dosadny.

Towarzystwa dramatyczne o tyle są dramatyczne, że z niewielu wyjątkami niema w nich ludzi, mających jakie lepsze pojęcie o celach i korzyściach, wypływających ze sceny amatorskiej. Większość tutejszych stowarzyszeń, uprawiających sztukę teatralną, składa się nawet z osobników nieposiadających dostatecznie swego języka. Stąd można się niejednokrotnie spotkać na przedstawieniach, przez takowe urządzanych, z językiem rażącym ucho inteligentnego polaka. Zdarza się, że reżyser akurat ma tyle wyobrażenia o sztuce dramatycznej, co „wół o karecie". Opinii publicznej w szerszem znaczeniu niema tu w tym względzie. Jednostkom inteligentniejszym. pojmującym inaczej zadania sceny amatorskiej, zbywa na odpowiedniej energii i chęci a nawet możności wpływania na tych niepowołanych ale niemało zarozumiałych aktorów, by módz poczynić reformy i wyrobić smak u publiczności.

Tutejsze polskie gazety nie tworzą jak w innych, tak i w tym razie, opinii. Pod grozą utraty płatnych ogłoszeń i czytelników swych, którzy należą do danej organizacyi dramatycznej, muszą one z góry wszystko chwalić, co by mogło ściągnąć na przedstawienie danego towarzystwa więcej ludzi. Chwalą zatem sztukę mierną, niefortunnie wybraną, nazywają osobników, nieposiadających języka i niepodatnych częstokroć nawet na materyał statysty, „artystami", grę ich, zdolną nabawić słuchaczy choroby nerwowej, świetną, znakomitą i niepozostawiającą nic do życzenia; reżyseryę trzeba również postawić na piedestale artyzmu. Dodać tu należy, że i redaktorzy gazet polsko - amerykańskich w wielu wypadkach byliby wcale nieodpowiednimi krytykami.

W Chicago, gdzie zawsze jest cokolwiek inteligencyi, skład towarzystw dramatycznych jest lepszy. W New-Yorku również w ostatnich czasach zaszła pewna zmiana na lepsze, a w pismach miejscowych można się od czasu do czasu spotkać z krytyką odpowiadającą bardziej rzeczywistemu stanowi rzeczy. Z tem wszystkiem, towarzystwa uprawiające sztukę amatorską mają tyle w sobie dobrego, że jakkolwiekbądź podtrzymują język polski i wogóle budzą w masach, do tego wcale nieprzyzwyczajonych, wyższe dążności Rzec można, że publiczność robotnicza, odwiedzająca regularnie przedstawienia amatorskie, nabiera pewnego poloru i wyróżnia się dodatnio od reszty nie interesującej się „tyjatrem".

Z inicyatywy kilku bardziej szczerych patryotów, między innymi ob. Andrzejkiewicza z Filadelfii, w r. 1880 powstał „Związek Narodowy Polski", składający się z towarzystw bardziej liberalnych, nie oddanych zupełnie władzy kościelnej. Cele jego prócz wsparcia pośmiertnego dla wdów po członkach Związku mają być: pielęgnowanie miłości do starego kraju, oświata w duchu narodowym, urządzanie obchodów powstań i konstytucyi 3 maja dla utrzymywania w młodszej generacyi patryotyzmu, zakładanie czytelni polskich, zaznajamianie ogółu amerykańskiego z historyą i charakterem dawnej Polski, by tym sposobem wzbudzić sympatyę tak dla wychodźtwa jak i ruchu zdążającego do oswobodzenia kraju z rąk zaborców, wyrabianie dla emigracyi polskiej w St. Zjedn. wpływu i znaczenia w kołach politycznych. Konstytucya Związku opartą jest na fundamentalnej podstawie „pracy narodowej" i zawiera, trzeba przyznać, wiele punktów, wiele wymagań, które mogą, byle tylko należycie były wykonane, zdziałać wiele dobrego. Związek nie wyrzeka się mimo swój „liberalizm" łączności z kościołem katolickim, jak to udawadnia § 1 konstytucyi: „Starać się o rozwój moralny i materyalny żywiołu polskiego w Stanach Zjednoczonych a to przez popieranie i zakładanie odpowiednich instytucyi polskich na zasadach *kościoła katolickiego*. Do rzędu takich instytucyi polskich należą biblioteki, czytelnie, domy polskie, szkoły i wogóle zakłady dobroczynne i przemysłu polskiego".

Ogólna ilość członków Związku sięga liczby 6.000, rozdzielonej na 187 grup, mieszczących się w 21 stanach a 94 miastach. Dla rozmaitych przyczyn 51 grup rozbiło się. Związek wypłacał dawniej wdowie po zmarłym członku 500 dol., teraz 600, a członkom w razie śmierci żony 300 dol. Sumy na ten cel zbiera się za pomocą t. zw. „assessment tax" t. j. oblicza się równy podatek od głowy. Przeciętnie podatek roczny wynosi 11 - 14 dol. od każdego członka. Ciało prawodawcze Związku stanowi co dwa lata zwoływa-

ny sejm, na który w miarę ilości członków grupy wysyłają swych delegatów z instrukcyami. Władzę wykonawczą stanowi: Cenzor, Wice-Cenzor i Rząd Centralny, składający się z 7 członków. Urzędy te obsadza każdorazowy sejm, wybierający jednocześnie z łona delegatów redaktora organu urzędowego „Zgoda“ w Chicago, sekretarza tegoż pisma i sekretarza dla organizacyi związkowej. Każdy członek otrzymuje na mocy wpłacanych podatków tygodnik „Zgodę“. Organizacya Związku zapewnia grupom swym zupełną autonomię i przyjmuje towarzystwa bez różnicy charakteru, o ile uznają konstytucyę Związku. Jednostki, uważane za socyalistów, anarchistów i nihilistów, Związek nie przyjmuje. Tak dalece nie ufa ruchowi klasy najmickiej, że osobistości, biorące w takowym wybitniejszy udział i gdyby skądinąd pracowały szczerze na polu „pracy narodowej“, jak ją pojmuje Związek, mogą być wykluczone i tracą prawo na odbiór wsparcia pośmiertnego. Dla zabezpieczenia się przed wtargnięciem żywiołów, uznających rewolucyjny program zorganizowanych ciał robotniczych, zwraca uwagę w jednym z paragrafów konstytucyi, że nie przyjmuje osoby należące do „tajnych związków“, potępionych przez kościół. Paragraf ten wpływa demoralizująco na jednostki oddawna już należące do Związku, jak i utrudnia w wysokim stopniu dostęp do organizacyi ludziom radykalnym i o tyle uzdolnionym, że mogliby, będąc przyjęci, wywołać ruch i przygotować grunt do poczynienia w regulaminach Związku reform, bardziej odpowiadających charakterowi ogółu członków, należących z nader nielicznymi wyjątkami do klasy robotniczej, oraz bardziej zgodnych z wymogami sytuacyi politycznej a niemniej i gospodarczej.

„Zgoda“ długi czas pod niedołężną redakcyą S. Nickiego ubierała się w piórka liberalnego patryotyzmu. Chwaliło się wszystko, co polskie, uchylało kornie czoła przed wielkością i potęgą „tego wolnego kraju“, tej „wielkiej rzeczypospolitej, co tak wspaniałomyślnie otwiera swe wrota dla tułaczy polskich“, i milczało się uparcie o wszelkich objawach ruchu klas pracujących. Przez długie lata zawartość „Zgody“ przedstawiała się niby cmentarzysko, na którem pomieszczane być mogły tylko zabalsamowane trupy demokracyi polskiej dziwacznego koloru, cienie jakiejś również dziwacznej, dla samych redaktorów „Zgody“ niezrozumiałej „idei narodowej“, no i również drukowano artykuły, z których trzeba było czytelnikowi wygrzebać wniosek, że „naród polski“ w Ameryce, Związek i „Zgoda“ czekają z upragnieniem chwili, kiedy to „Opatrzność Miłosierna“ uzna za stosowne zawołać w stylu czarnoksięzkim „Tysiąca i Jednej Nocy“ — „Powstań Polsko“! Resztę treści wypełniają i po dziś dzień sprawozdania z obchodów narodowych, urządzanych corocznie przez grupy Związku z jednostajnością doprawdy stereotypową, wieści z kraju, szkice historyczne o tendencyach szlachecko-katolicko-demokratyczno-polskich i polemika, niesmacznie prowadzona z organami i prowodyrami księżymi obu konkurujących ze Związkiem organizacyi „pośmiertnych“ t. j. Zjednoczenia Katolickiego i Unii ks. Pitassa. Czasami współpracownik „Zgody“, niejaki A. W. Kossak, zabłądzi do labiryntu „idei przewrotowej“ t. j. socyalizmu i wylewa gorzkie łzy i żółć swą nad tą, w jego oczach, „występną, nienarodową, niepolską“ ideą. Ogół członków Związku na to milczał. Jednostki, niezgadzające się z tendencyą urzędowego organu, nie miały odwagi cywilnej, by przeciwko redagowaniu „Zgody“ protestować. Dopiero na ostatnim, dziesiątym z rzędu sejmie, odbytym w lecie roku zeszłego w Chicago, niezadowolenie z redagowania „Zgody“ odbiło się w ten sposób, że Nicki dostał dymisyę a miejsce jego zajął Hieronim Jabłoński. Wraz z nowym redaktorem inny duch wstąpił w szpalty tego pisma. Wprawdzie tak samo czytelników straszy się „ideą narodową“, ale już bardziej określoną, demokratyczną, zbliżającą się do programu „Związku Wychodźtwa Polskiego“ w Szwajcaryi i Francyi. Oprócz tego „Zgoda“ przyznaje, że istnieje na świecie kwestya socyalna, ubolewa nad losem swych czytelników wyzyskiwanych i pozbawianych chleba przez kapitał, uznaje potrzebę łączenia się z robotnikami amerykańskimi i potrzebę walczenia z wyzyskiem kapitalistycznym. Na odzywające się tu i owdzie głosy ukrytych puszczyków, że to wszakże czerwony, „niepolski“ socyalizm, redakcya broni się w ten sposób, iż w jednym z artykułów wstępnych zaznacza wyraźnie, „że daleko jej jest do socyalizmu i anarchizmu“; wogóle radzi członkom Związku nie wstępować do organizacyi z „ideami przewrotowemi“, a jedynie do takich, które są legalne i lojalne dla rządu St. Zjedn. Pan Jabłoński chce nawet sam zakładać kluby robotnicze, zapewne by ustrzedz robotnika polskiego przed ludźmi „przewrotu“.

Już od początku narodzenia się Związku, Zjednoczenie i Unia zajęły wobec tegoż stanowisko konkurentów. Obu tym organizacyom, absolutnie stojącym pod kontrolą księży, świeckość Związku nie poszła w smak. Przez długie lata, mimo że Związek na stawiane mu przez organy księże zarzuty niekatolickości bronił się rękami i nogami, związkowców nazywano masonami, niedowiarkami, synami Antychrysta, dyabła itp. W wielu wypadkach księża wprost z ambony zakazywali parafianom wstępować do Związku. Tego rodzaju taktyka zniechęca niejednego i księża wywołują wprost przeciwny ich zamiarom rezultat. Wielu ludzi, oddanych szczerze kościołowi, zirytowanych tem ciągłem, wysoce nietaktownem szczuciem na Związek, obojętnieje w końcu względem peror duszpasterzy i umyślnie garnie się do szeregów Związku. Pod kierownictwem Nickiego „Zgoda“ długi czas także nie szczędziła w obronie na zarzuty organów księżych grubiańskich słów i artykułów, zapełniających czasami z wielką szkodą dla czytelników połowę gazety. Obecnie pod tym względem zaszła zmiana na lepsze. Jabłoński stara się unikać niepotrzebnej i bezowocnej polemiki.

Chcąc zrozumieć narodowo-mieszczańską cechę Związku, nie licującą wcale ze stanowiskiem jego członków w społeczeństwie amerykańskiem, trzeba zanalizować charakter i dążności ludzi, stojących u steru organizacyi i wywierających stanowczy wpływ na ukształtowanie się prądów społeczno-politycznych w łonie Związku. Należy także zwrócić uwagę na to, że 95% członków nie posiada dostatecznej sumy inicyatywy, krytyki i zmysłu dyplomatycznego, by módz, mimo nawet lepszych przekonań, nadać Związkowi przy jego sterze dotychczasowym inny charakter. Kierownicy duchowi i faktyczni Związku, jak Adalia Satalecki, dr. Midowicz, Sawicki, Majewski, Gryglaszewski, Kossak, Heliński, K. Żychliński, Tadeusz Wild, Lewandowski, Przybyszewski i kilkunastu innych należą tak co do swych rzeczywistych przekonań, jak i dążności, do obozu liberalizującego i wierzącego w „pracę organiczną“ mieszczaństwa. Reprezentują oni, częstokroć nawet nie na mocy swego w tym kraju stanowiska, małą i bardzo lichą co do ilości i gatunku burżuazyę polsko-amerykańską. Wielu z tych malutkich a liberalizujących mieszczuchów szczyci się swoją przeszłością w Europie, nad którą zawiesić by trzeba w niejednym wypadku płaszczyk milczenia. W Ameryce każdy z nich prawie skosztował w mniejszym lub większym stopniu owoców ustroju opartego na indywidualnej konkurencyi. Niejeden z tych burżua znajduje się dziś jeszcze w stosunkach materyalnych, zbliżonych mocno do nędzy.

Niejeden z trudem wyżywia siebie i rodzinę, ale wszyscy łudzą się z dnia na dzień, że kiedyś bóg kapitalistyczny umieści i ich w rzędzie amerykańskiego niesfałszowanego mieszczaństwa, posiadającego dosyć grosza i patryotyzmu, by się módz bawić w liberalizm. Nadzieje aspirantów do klasy burżuazyjnej opierają się nie tyle na szczęściu w życiu handlowo-przemysłowem, co na otrzymaniu kiedyś dobrze płatnego stanowiska przez jedną z politycznych partyi kapitalistów amerykańskich. Dla dopięcia tego celu używa się całej swej energii i wszelkich środków, rokujących powodzenie. „Bracia“ związkowi, pracujący ciężko na kawałek chleba, muszą być jednym z głównych środków dla utorowania drogi polsko-amerykańskiemu karyerowiczowi do cudownej krainy, zaludnionej przez „lepsze klasy“ społeczeństwa.

Nie tyle przeto skutkiem pieczołowitości o interesa „narodu polskiego“ w Ameryce, jak z obawy o utratę zaufania w kołach politycznych burżuazyi amerykańskiej, sterownicy Związku bronią doń przystępu uświadomionym robotnikom polskim — socyalistom. Wszak socyaliści — wrogowie politycznych partyi, reprezentujących jedynie interesy kapitału — popsuliby szyki, wnieśliby dysharmonię do szeregów zgodnych, potulnych, przychylnie dla rządu amerykańskiego usposobionych „braci“, a wtedy trzebaby się pożegnać z nadzieją karyery.

Rzeczywiście, jednemu i drugiemu z wpływowych związkowców, spekulujących głosami swych „braci“, udało się znaleść miejsce u koryta występującego w roli polityki i interesów narodowych kapitału amerykańskiego. Dla wykazania odnośnym sferom, że Związek jest zupełnie koszerny, że niema w nim żywiołu wrogo usposobionego dla rządów kapitalistycznych, zaprasza się regularnie na polskie obchody narodowe reprezentantów obu partyi kapitalistycznych; takowi w roli mówców prawią komplementa dla „bohaterskich synów Kościuszki i Puławskiego“, wynoszą pod niebiosa wolność, potęgę i sprawiedliwość rzeczypospolitej amerykańskiej, jej cudowne instytucye itd. Robotnik polski, wyzyskiwany bezczelnie i pogardzany w rzeczywistym swym codziennym bycie, chce zapomnieć o tem choć raz lub kilka razy do roku, choćby tylko pod wrażeniem szumnych i gładko wypowiedzianych frazesów, odbijających się aż nadto jaskrawie od ponurej, bijącej w oczy prawdy.

Ale nietylko wpływowi „patryoci“ i liberalni apostołowie „pracy organicznej i jednolitych interesów narodu polskiego“ trzymają w ten sposób proletaryat polski w St. Zjedn. w kleszczach interesów burżuazyi amerykańskiej. Niesłychana korupcya polityczna klas posiadających w Ameryce, niedojrzałość połączona również z domieszką korupcyi w łonie samejże klasy robotniczej w tym kraju, brak dostatecznej liczby pism szerzących ideę walki klasowej, pod każdym względem musiały odbić się fatalnie na świadomości wychodźtwa polskiego. Wychodźtwo to, składające się w swej znacznej większości z chłopstwa i prowincyonalnego robotnika, nie przyniosło ze sobą najmniejszego zrozumienia walki, toczącej się w łonie świata cywilizowanego, nie przywykło do walki o lepsze warunki bytu, z nielicznymi wyjątkami — nie czyta, nie interesuje się bieżącemi sprawami w polityce, przeto po za kwestyą chleba, po za fabryką i kopalnią, kościołem i szynkiem, nie posiada dużo wyższych dążności. Za przykładem inteligentniejszych jednostek, które, o ile nie przyznają się do zasad socyalistycznych, grupują się w organizacyi związkowej i zakładają w interesie kapitału kluby „polityczne“ z robotników polskich, poszło niejedno indywiduum, któremu, prócz śmiesznej zarozumiałości i ambicyi, zbywa na wszystkiem, nawet na elementarnem okrzesaniu.

Każdy polski klub polityczny należy albo do partyi republikańsko-kapitalistycznej albo do demokratyczno-kapitalistycznej. O przekonaniach i zasadach jego politycznych rozstrzyga z niesłychanie rzadkimi wyjątkami — pieniądz. Jeżeli założyciele i kierownicy takiego klubu liczą na większą ilość dolarów i na korzystniejszą posadę ze strony partyi republikańskiej — klub jest republikańskim. Jeżeli demokraci więcej obiecują — klub jest demokratycznym. Dla polskiego robotnika w Ameryce, bawiącego się w politykę, nie stanowi to znacznej różnicy. Nie rozumie on i tak żądań tak jednej jak i drugiej partyi burżuazyjnej.

W skład członków klubów politycznych wchodzą przeważnie najgorsze pod względem moralnym i intelektualnym żywioły wychodźtwa polskiego: zawodowe próżniaki, łaknące kilku dolarów, amatorzy piwa, obficie dostarczanego tym klubom przez agentów partyi kapitalistycznych, zarozumiałe nieuki, które na podstawie dłuższego pobytu w Ameryce uważają się za przemądrzałych, wreszcie poczciwi głupcy, nędzarze, wstępujący do klubu z nadzieją otrzymania przez to miejsca rządowego. Dla polskiego robotnika miejsca „rządowe“ poczynają się i kończą — w departamencie czyszczenia ulic, przy zarobku dziennym od półtora do 2 dolarów, i to dopóki nie następuje zmiana partyi. Republikańska zwycięzka partya wypędza hurtownie demokratów i naodwrót demokraci wyrzucają za drzwi republikanów. System, polegający na tem, że każda partya, co wyszła zwycięzko z wyborów, rozporządza ogromną ilością nie najgorzej płatnych stanowisk i że rozdaje takowe jedynie swym zwolennikom bez względu na ich kwalifikacye, stanowi najgorszą zakałę amerykańskiego życia politycznego, demoralizuje w okropny sposób emigracyę i nadzwyczaj utrudnia akcyę polityczną zorganizowanych robotników. Gdyby nie te posady i posadki, starania polskich agentów burżuazyi amerykańskiej i handlarzy głosami robotników polskich w rzadkich wypadkach byłyby uwieńczane pomyślnym skutkiem.

Wogóle, stosunkowo do ilości towarzystw polskich w St. Zjedn. oraz do miliona emigracyi, polskie kluby polityczne nie są wcale tak liczne. Właściwie znajdują się one tylko po większych koloniach, gdzie się znajdują reprezentanci inteligentniejszego proletaryatu. Góruje pod tym względem Chicago, Milwaukee, Filadelfia, Cleveland, Buffalo i New-York. Nie przecenię, jeśli podam ogół członków wszystkich demokratyczno-republikańskich klubów polskich w St. Zjedn. na 2.000 głów. Niejeden z tych klubów stanowią tylko jego urzędnicy i prowodyr. Im większa liczba członków, tem więcej przypada organizatorom łupu w udziele. Zazwyczaj płaci się tu od głowy albo, wyrażając się dobitnym żargonem tutejszym — od skóry!

Swoją drogą obdarzeni złodziejskim sprytem „politykierzy“ amerykańskiej klasy kapitalistycznej systematycznie oszukiwani bywają przez „naszych“ dyplomatów. Dla politycznego kapitału robotnik tak wogóle, jak i polski, stanowi wówczas tylko w okresach wyborczych wartościowy artykuł, jeśli ten robotnik jest obdarzony głosem obywatela-wyborcy. Tymczasem w polskich klubach przeciętnie ledwie połowa członków posiada obywatelskie prawa. Nieobywatele zajmują miejsca statystów. Jeśli klub urządza zebranie i spodziewa się przybycia jakiegoś dygnitarza kapitalistycznego, statyści mają wyrażać liczebną potęgę klubu, a co zatem idzie, decydują o wysokości łupu. W rzadkich razach korzysta zeń ogół członków. Jeżeli partya, której zasady niby wyznawał klub, wygrywa, ten i ów członek wybitniejszy otrzymuje posadę rządowego, względnie miejskiego rycerza miotły. Jeżeli odnośna partya została pobitą, ogół członków kontentować się musi spożytem piwem i

przekąskami, t. zw. „free lunch“. Czasem rzuci im się kilkadziesiąt dolarów.

W Chicago, Milwaukee, Cleveland, Buffalo, Detroit, Toledo i w Winonie (st. Minnesota) żywioł polski stanowi dzięki swej liczbie czynnik, z którym się muszą sfery polityczne liczyć. W tych miastach tedy wyborcy polscy otrzymać mogą, prócz swej części w departamencie robót publicznych i czyszczenia ulic. nieco lepsze stanowiska. I tak w Chicago i Milwaukee, gdzie „the Polish vote“ t. j. ilość wyborców polaków dochodzi do 5.000, są polscy „aldermen“ t. j. radcy miasta, komisarze rozmaitych departamentów miejskich, sędziowie, urzędnicy pocztowi, sekwestratorzy i policyanci. W porównaniu z pensyą europejskiego stróża porządku stanowisko policyanta amerykańskiego należy do rzędu dobrze płatnych. W miastach jak New-York, Chicago, Filadelfia itp. pensya takowego dochodzi do 100 dol. na miesiąc. Stan Michigan szczyci się nawet polskim senatorem. Jest nim p. Kruszka, właściciel „Kuryera Polskiego“ w Milwaukee. Mała stosunkowo liczba wśród polskiej emigracyi roboczej klubów i zwolenników amerykańskich partyi burżuazyjnych nie podoba się polskim agentom tych organizacyi i dlatego przed każdorazowemi wyborami ubolewają nad „obojętnością polaków dla tej wspaniałomyślnej rzeczypospolitej, która ich tak gościnnie przyjęła“, nad opieszałością w uzyskiwaniu praw obywatelskich oraz wzywają swych braci do tłumnego wstępowania do odnośnej partyi. Pisze się i krzyczy na zebraniach jedynie w ten sposób: „zasłużymy sobie na szacunek u rządu i u amerykanów, wyrobimy dla swoich braci stanowisko i wywdzięczymy się temu krajowi za okazywaną Kościuszce, Pulawskiemu i nam życzliwość“. Jeszcze przed wyborami jeden i drugi robotnik bez zajęcia wstąpi do klubu pod obietnicą kierowników, że mu wyrobią miejsce. Po wyborach niektóre kluby, sztucznie do życia powołane, dla korzyści jednej lub kilku osobistości, znikają z horyzontu politycznego; drugie tracą większość członków, trzymanych nadzieją zajęcia, dolarów i piwa. W klubach, zakładanych dla łupu, niesprawiedliwy podział takowego wywołuje bardzo często kłótnie a nawet bójki. Zasłużeni względem narodu mężowie, patryoci i świeczniki polskiego wychodźtwa (w opinii dziennikarstwa polsko - amerykańskiego) prawią sobie wtedy na poufnem zebraniu komplementa, trącające o złodziejstwo i łotrowstwo.

Z tem wszystkiem emigracya polska nie potrzebuje się wobec amerykanów rumienić. Bezczelna sprzedajność po większych miastach, ogólny brak w społeczeństwie amerykańskiem uczciwszego i wyższego pojmowania wyborów, obojętność dla kraju, o ile dana sprawa nie dotyka bezpośrednio interesów kapitalisty amerykańskiego lub interesów niedojrzałego politycznie jeszcze i apatycznego na nędzę swej klasy robotnika anglo - amerykańskiego, brak zaufania i to z góry do dobrowolnie wybranych prawodawców i usprawiedliwiana skrycie przez masy narodu amerykańskiego nieuczciwość władz rządowych, zgangrenowały także zdrowsze elementy wychodźcze nie zrodzone na tej ziemi. Do szerzenia się zgnilizny moralnej w warstwach emigracyi polskiej, podatnych ku temu, nie mało przyczynia się także prasa polsko - amerykańska.

Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że skutkiem wzrastającego braku pracy, nędzy i widocznej dla każdego robotnika obojętności i bezczynności władz wobec tego, liczba robotników polskich, dobrowolnie zaprzedających się partyom kapitalistycznym, nie będzie rosła. Inaczej byłoby źle. Towarzystwa, prowadzone przez niesumiennych i ambitnych duszpasterzy, ogłupiają niemało polskiego najmitę; towarzystwa o t. zw. narodowej barwie zaciemniają dlań widnokrąg społeczny i paczą instynkta lub budzącą się świadomość klasową; wszakże nie są one tak szkodliwe, tak niebezpieczne dla rozwoju świadomości proletaryatu, co kluby polityczne, wykonywające usługi siepaczy burżuazyi. To trucizna moralna. Każdy klub tego gatunku to czysta, otwarta zdrada, popełniana przez robotników względem swych braci i swych własnych interesów. Dlatego socyaliści polscy w St. Zjedn. muszą prowadzić z klubami republikańsko - demokratycznymi zaciętą walkę, walkę na noże.

Agitacya w imię interesów narodowych, jaka wyszła od Związku, tu i owdzie rzeczywista świadomość rewolucyjna, częstokroć sztucznie u naszego ludu rozbudzone przeświadczenie o konieczności odbudowania Polski, a co zatem przygotowywanie się do walki z zaborcami, nareszcie upodobanie miejskiego robotnika polskiego, szczególnie z Poznańskiego i Galicyi, w mundurach, paradach wojskowych i tytułach, powołały do życia w każdej prawie większej kolonii t. zw. towarzystwa wojskowe. Są one czasami dosyć silne liczebnie. Przyjmują nazwy jak: „Legion Wolnych Polskich Krakusów“ lub Strzelców, Ułanów Czerwonych i Białych, Gwardyi Pułaskiego i Kościuszki, Baterya Kanonierów Polskich (w Newarku i Jersey City) itp. Są one wszystkie odpowiednio umundurowane i uzbrojone w pałasze i strzelby. Zresztą cel ich główny polega na wypłacaniu wsparcia chorym członkom i wdowom po członkach. Prócz tego biorą one udział w obchodach narodowych, uroczystościach poświęcania kościołów, paradach na przyjęcie dygnitarzy kościelnych i bardzo często w paradach, urządzanych przez władze i organizacye nie robotnicze. W Milwaukee istnieje „Gwardya Kościuszki“, należąca do milicyi st. Michigan. Przed 8 czy 9 laty zgłosiła się ona podobno dobrowolnie z gotowością do poskromienia strejkujących robotników kolejowych. Z tego wszystkiego można zatem wywnioskować, że i polskie organizacye wojskowe, złożone z ciężko pracujących robotników i z bardzo lichego gatunku inteligencyi, chorującej na pańskość, zarażone są trucizną „jednolitych interesów narodowych“ i wogóle trucizną zapatrywania się na objawy społeczno - polityczne z punktu widzenia prasy kapitalistycznej. Macherzy t. j. kierownicy towarzystw, umundurowanych na sposób wojskowy w mundury byłych wojsk polskich z r. 1831, — są to, z nader rzadkimi wyjątkami, osobniki bez wykształcenia, często bez elementarnego okrzesania, ale pyszne ze swych tytułów kapitańskich, majorskich i wyższych jeszcze. Niewiele z tych organizacyi odbywa regularne ćwiczenia wojskowe. Wojskowość takowych, gdzie rzadko stanowisko i rangę oficerską zajmuje człowiek z jaką taką rutyną i wykształceniem wojskowem, zasadza się właściwie głównie na noszeniu mundurów i zbroi przy odpowiedniej okoliczności.

Skutkiem kryzysu, panującego tu od dwóch lat, i coraz nędzniejszych zarobków, kandydatów do wojskowych organizacyi jest coraz mniej. Bo też mundur Krakusa lub Ułana kosztuje od 30 do 60 dolarów. Bardzo niewielu robotników polskich jest w stanie wydać taką sumę na rzecz ostatecznie zbytkowną. Ponieważ na razie są tylko oznaki, że walka o byt dla amerykańskiej klasy robotniczej będzie coraz cięższą, towarzystwa wojskowe i wśród polaków, o ile nakładają na swych członków obowiązek noszenia dosyć kosztownych mundurów, nie mają przyszłości bardzo różowej. Zdarza się także codziennie, że członek np. Legionu Krakusów w New-Yorku zmuszonym jest dla chleba opuścić miasto i towarzystwo i wyjechać w okolicę, gdzie mundur na nic mu się nie przyda. Wtedy naturalnie sprzedaje takowy za bezcen. Konstytucye towarzystw wojskowych zawierają paragraf,

że każdy członek winien się stawić do apelu, skoro ojczyzna polska zażąda pomocy. To pewna, że wielu zwłaszcza patryotycznych rzemieślników chętnie pośpieszyłoby na plac boju. Trudno jednakowoż orzec, ilu się znajdzie ludzi tak oddanych sprawie niepodległości Polski, iżby opuścili swe rodziny, nowo przybraną ojczyznę, pracę, by pójść na śmierć prawdopodobną. Gdyby nawet kilka tysięcy ludzi wyruszyło stąd celem przyłączenia się do rewolucyjnej armii polskiej, to usługi ich, jako niewyćwiczonych żołnierzy, nie bardzo mogłyby być wielkie.

Bezwątpienia polskie organizacye wojskowe, uzbrojone, mogłyby dostarczyć, gdy zajdzie potrzeba, dobrego sojusznika dla sprawy rewolucyjnej w kraju, gdyby kierowane były przez ludzi fachowo uzdolnionych i gdyby takowi robili ciągły użytek z najnowszych w tej dziedzinie metod. Trzeba zresztą wątpić, czyby rząd Stanów Zjednoczonych pozwolił im spokojnie się rozwijać, gdyby wywąchał, że traktują swe zadania na seryo. Tem bardziej, że wiadomem jest w kołach odnośnych, że bądź co bądź polskie towarzystwa wojskowe składają się z robotnika i że są zwrócone przeciwko rządom, z którymi wiążą republikę amerykańską przyjazne stosunki dyplomatyczne. Nie ulega kwestyi, że Rosyi zwłaszcza uzbrojone ciała polaków nie podobają się wcale. Usłużna, pod wrażeniem widma rewolucyi społecznej w swym własnym kraju, burżuazya Stanów Zjednoczonych pierwej lub później zobowiąże sobie cara i rozbroi polską armię, jak to uczyniła wbrew konstytucyi z uzbrojonymi związkami robotniczymi w latach siedemdziesiątych. Trzeba być przygotowanym na tę ewentualność. Niechaj polskie organizacye wojskowe w Ameryce uczą swych członków taktyki wojennej, póki im to dozwolone. Niechaj socyaliści polscy wstępują do nich i wnoszą zarzewie rewolucyi społecznej, świadomość walki klasowej. Wtedy i sprawa robotników amerykańskich zdolną będzie uzyskać w tych dotąd z burżuazyą paradujących Krakusach, Strzelcach i Ułanach użytecznego towarzysza broni.

Instytucyą poważniejszą i zasługującą na uznanie jest wyszłe z inicyatywy Związku Narodowego „Muzeum i Biblioteka Narodowa“. Takowe wybiera z łona swych członków zarząd, ustanawia pensye dla urzędników i naznacza kontrolerów. Muzeum i Biblioteka razem połączone mieszczą się w Chicago. Biblioteka zbogaconą została niedawno wartościowym zbiorem doktora H. Kałussowskiego w Waszyngtonie. Związek kontroluje także fundacyę pod nazwą „Skarb Narodowy.“ Dobrowolne składki i fundusze, zbierane przez urządzanie przedstawień i koncertów, stanowią źródło dochodów Skarbu. W New-Yorku znajduje się prywatny fundusz Skarbu pod opieką bogatego prezydenta kompanii gazowej, barona Erazma Jerzmanowskiego. Fundusze Skarbu pomnażają najwięcej grupy związkowe; są jednak i towarzystwa czysto kościelne, wyznaczające od czasu do czasu kilka centów dla Skarbu. Cel tegoż ten sam, co i instytucyi Skarbu w Europie: zebranie poważnego funduszu dla ojczyzny i użycie takowego w interesach niepodległości kraju. Gdy suma dojdzie do 100.000 franków, zarząd „Związku Wychodźtwa Polskiego“ w Europie, w porozumieniu ze Związkiem Narodowym w Ameryce, ma uchwalić użytek funduszu. Skarb Narodowy w Stanach Zjednoczonych wysyła wszystkie pieniądze na ręce zarządu Muzeum Narodowego w Rapperswylu. Jeneralnym sekretarzem Skarbu w Ameryce jest S. Barszczewski w Chicago.

W maju r. b. powstała w Chicago z inicyatywy kilkudziesięciu księży i osób związanych z interesami kościoła t. zw. „Liga Polska w Stanach Zjednoczonych.“ Cele jej podobne do celów Związku Narodowego, tylko że nie wchodzi w zakres jej działalności wspieranie pośmiertne i wogóle materyalne. O ile można wnosić z ogłoszonego programu, z odezw i z obrad pierwszego zjazdu lub wiecu Ligi, wytyczną jej działalności agitatorskiej i organizatorskiej ma być zbieranie funduszów na Skarb Narodowy, a ostateczny cel: praca w kierunku oswobodzenia ziem polskich. Jest to coś w rodzaju istniejącej w Ameryce Ligi irlandczyków. Jak zapowiada program Ligi Polskiej, w skład jej mogą wejść wszelkie towarzystwa bez różnicy obozu i swej przynależności do innych polskich scentralizowanych organizacyi w Ameryce i indywidualnie każdy polak bez różnicy przekonań społeczno-politycznych i religijnych. Członkiem Ligi staje się każda osoba, płacąca po 1 cencie (2 kop.) miesięcznego podatku. Uzbierane w ten sposób grosze mają stanowić Skarb Ligi Narodowej. Zarząd mieści się w Chicago, a prezydentem Ligi obrano Erazma Jerzmanowskiego z New-Yorku. Liga mianuje w każdem mieście agentów, figurujących jako kolektorzy składek pieniężnych i wykonywających wogóle określone zadania Ligi. W pierwszym swym cyrkularzu, nawołującym polskie kolonie, parafie i towarzystwa do obesłania wiecu chicagowskiego, Liga akcentowała silnie zdanie, że stuletnia rocznica powstania kościuszkowskiego stanowi najpodatniejszą chwilę do zrzeszenia polaków wszelkiego obozu dla celów pracy narodowej, zdążającej do uzyskania niepodległości.

Pominąwszy sentymentalne i górnolotne frazesy, odwoływanie się do „solidarności narodowej“ i nawoływanie sił nadziemskich do pomocy — wszystko nieodłączne przyprawy dziennikarstwa liberalno-mieszczańskiego — dałoby się wnosić z tonu odezw urzędowych Ligi, że takowa stoi, odnośnie do niepodległości Polski, na gruncie rewolucyjnym i że będzie szczerze w tym kierunku pracować. Wszelako koła Związkowe i osoby, nielubiące interwencyi księży w sprawach niereligijnych, zajmują wobec świeżo upieczonej organizacyi stanowisko, co najmniej sceptyczne. Urzędowy organ Związku“ początkowo nawet wyraźnie ostrzegał polski ogół narodowo-liberalny przed tajemniczemi zamiarami Ligi. Toż Związek na wiecu nie był reprezentowany a większość delegatów — koło 300 ludzi — składała się z księży, kilku wybitniejszych świeczników nie wprost kościelnych i z delegatów parafialnych — ludzi będących naturalnie narzędziem w rękach duszpasterzy. Gdy tedy tak złożony wiec Ligi wypuścił w świat odezwę pełną tolerancyi i świadomości narodowej — odezwę tak mało licującą z charakterem ciała delegackiego — w sferach zainteresowanych tą sprawą zdziwienie nastąpiło potężne. Rzec można, odezwa Ligi i sprawozdanie z odbytych narad wiecu, sprawiły wrażenie bomby dynamitowej. Nieufność jeszcze stąd większa. Związek nie może stawiać księżom w Lidze zarzutu nie-patryotyzmu. W cichości, nieraz i otwarcie, widzi w niej groźnego konkurenta. Faktycznie niepodobna dowierzać szczerości kierowników Ligi. Mimowoli trzeba rozumować, że za tak ładnie ułożonym programem kryją się jakieś inne, prawdopodobnie kościelne, interesy i że księża, co stworzyli Ligę, uczynili to dlatego, że się obawiają napływu większych mas wychodźtwa polskiego do grup Związku, ciała, ze stanowiska rzymsko-katolickiego, zbyt polskiego, świeckiego i postępowego. Można to wszystko przypuszczać. Blizka przyszłość pokaże, czego się można po Lidze spodziewać.

Koło miliona żydów, wywodzących swe pochodzenie z ziem polskich, znajduje się ogółem w Stanach Zjednoczonych. Z tej sumy trzy czwarte osiedliło się w New-Yorku i okolicy. Znaczniejsze kolonie polsko-żydowskie znajdują się w Chicago, Buffalo, Cleveland, San-Francisko i w Filadelfii. Ze względu, że z mi-

liona żydów polskich w Ameryce ledwo tuzin solidaryzuje się z interesami narodowości polskiej, łącząc się z polskiemi towarzystwami i biorąc czynny w nich udział, nie można ich zaliczać jako część składową polskiego wychodźtwa. Właściwie w rachubę wchodzi tylko New-York, gdzie już od lat 10 garstka polaków semickiego pochodzenia, w mniejszym lub większym stopniu, utrzymuje stosunki z kolonią polsko-sławiańską. Garstka ta wszakże stoi na gruncie zasad socyalistycznych i nie należy do towarzystw narodowych. Zresztą takowe z wyjątkiem grup Związku Narodowego nie mają miejsca dla żydów. Związek jest także jedyną w Stanach organizacyą polską, która nie wzbrania przystępu polakom semitom. Swoją drogą większość grup związkowych, cieszących się autonomią, otwarcie lub skrycie wystrzega się członkostwa żydowskiego. Towarzystwa wojskowe absolutnie żydów polskich nie przyjmują. Pewien młodzieniec żydowskiego pochodzenia dlatego jedynie przeszedł na katolicyzm, by módz wstąpić do organizacyi wojskowej „Legion Wolnych Polskich Krakusów“ w New-Yorku.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby żydzi polscy w znaczniejszych ilościach solidaryzowali się pod każdym względem z narodowością polską, nienawiść do nich i brak zaufania w masach ludu polskiego dałyby miejsca innym uczuciom.

Ci z żydów uważających się za polaków, którym arcynieprzychylne względem nich stanowisko wychodźtwa polskiego w Ameryce sprawia boleść lub przykrość, winni przypisywać winę tego żydom samym. Jeśli się zważy, że prócz niewielu wyjątków z pod zaboru rosyjskiego, żydzi galicyjscy i poznańscy, nawet ze sfer inteligencyi, nie łączą się wcale prawie z żywiołem krajowym i że nie bez słuszności takowy widzi w nich tylko wyzyskiwaczy. zwracających sympatye swe do panującej zaborczej dynastyi; jeśli się w dalszym ciągu widzi, jak emigrant — żyd polski stara się jaknajprędzej wynarodowić t. j. stać się żydem amerykańskim, mówiącym po angielsku, nieprzyjazne dlań uczucia wychodźtwa polskiego stają się rzeczą naturalną. Tak naturalną, że gdyby nawet większość polsko-amerykańskiego dziennikarstwa była żydofilską a nie, jak jest, żydożerczą, nie zmieniłoby to o wiele postaci rzeczy. W tym wypadku sztucznych uczuć nie da się stwarzać.

Żydzi polscy w Ameryce dzielą się na dwie naturalne kategorye ekonomiczne. Jedni są fabrykantami i kupcami, drudzy robotnikami. Ci ostatni od lat 6 w poważnych zastępach gromadzą się pod sztandar robotniczy. W New-Yorku zwłaszcza, kilka stowarzyszeń fachowo-robotniczych, jak krawcy, czapnicy i wyrabiający portmonetki, składa się przeważnie z żydów polskich i litewskich. Interesy zawodowe prowadzone są w języku niemieckim, angielskim oraz w żargonie. W niektórych większych koloniach polskich są kupcy żydowscy, zmuszeni liczyć się z polską klientelą. W takim razie ogłaszają się oni w pismach polskich za polaków i polecają swe towary „braciom.“

Z inicyatywy kilkunastu młodych ludzi, żydów urodzonych w Królestwie, głównie w Warszawie, a przyznających się o tyle przynajmniej do narodowości polskiej, że mówią tym językiem i czytają polskie wydawnictwa, powstał w New-Yorku przed dwoma laty klub „Biesiada“. Takowy urządza przedstawienia teatralne w polskim języku i bale, na których się zawsze tańczy mazura. Jednakowoż nie znajdują oni poparcia ze strony ogółu polskiego. Członkowie „Biesiady“, jako byli kantorowicze i pomocnicy handlowi, należą do świata burżuazyjnego. Bądź co bądź należy im się uznanie, że nie stawiają wyżej nad polską cywilizacyę rosyjskiej lub c. k. austryackiej i że „Biesiada“ niejako wykazuje ogółowi polskiemu w Ameryce, że żydzi w Polsce od wieków zamieszkali winniby stanowić część narodu polskiego.

Spoglądając na listę towarzystw wśród emigracyi naszej w Stanach Zjednoczonych, przyznać trzeba, że chociaż w stosunku do innych narodowości niewielki procent uznał konieczność zrzeszenia się, to jednak z uwagi na fakt, że tenże sam lud w kraju bardzo często nie wiedział nawet, czem jest towarzystwo, postąpił w tym względzie dosyć wysoko naprzód. Z miliona polaków, osiedlonych na zachodniej półkuli, znajduje się 25.000 w rozmaitych organizacyach.

II.

Obok tych towarzystw najważniejszym objawem życiowym emigracyi jest dziennikarstwo. Zaczątki jego datują się z lat siedemdziesiątych, kiedy wychodźtwo polskie mogło liczyć najwyżej 75.000 dusz. Wtedy ukazały się prawie równocześnie dwa wydawnictwa tygodniowe w Chicago, „Gazeta Katolicka“ i „Gazeta Polska“, zwana ogólnie od swego wydawcy W. Dyniewicza „Dyniewiczówką“. Oba te pisma, o treści dosyć obfitej i informującej, należą dziś jeszcze do rzędu niewielu pism polskich w Ameryce, mogących się utrzymać — z prenumeraty i za które ludziska z góry abonament opłacają. Przed rokiem osiemdziesiątym, gdy brakowało jeszcze nawet osobników zdolnych choćby „po szewcku“ redagować mizerne pisemko, nie powstało wiele innych gazet. Z napływem różnych jegomości z pod „ciemnej gwiazdy“ i osobistości, zmuszonych dla wielu powodów opuszczać kraj rodzinny, a posiadających jakie takie wykształcenie, posypały się w latach osiemdziesiątych w kilku większych koloniach polskich gazety i gazetki.

Nie należy stąd żadną miarą wnioskować, że było to dzięki wzrastającej wśród ludu potrzebie informowania się o bieżących sprawach życia. Z nader rzadkimi wyjątkami chłopek polski piśmienny i robotnik, żywioł, któremu w ojczyźnie ani się śniło trzymać gazetę, stał się ciekawszym w Ameryce. Wychodźtwo polskie zwłaszcza w miastach jak Chicago, Buffalo, Filadelfia, Detroit, Toledo w Ohio, wogóle tam, gdzie niewielu jest rzemieślników, liczy ogromny procent analfabetów.

Na stu, co jako tako czytają, 50-ciu obchodzi się bez gazet a 25 prenumeruje wydawnictwo, skoro się ich do tego w jakikolwiek sposób zmusi. Wśród miliona polaków jest tu może najwyżej 8.000 — 10.000 ludzi, abonujących pisma z uczucia potrzeby, a drugie tyle zaliczyć trzeba do przymuszanych moralnie do tego z ambony, o ile się tyczy pism kościelnych, w towarzystwach i przez instytucyę — jedyną w swoim rodzaju — kolektorów. W porównaniu z liczbą abonentów wśród chłopstwa i klasy robotniczej w Galicyi i w Poznańskiem, procent to nie tak zły. Wpływa na to zarówno taniość prenumeraty jak i lepsze do czasów ostatnich zarobkowanie a tem samem możność opłacania za pismo; nie mniej także nacisk, wywierany przez księży — gazeciarzy i towarzystwa. Najwięcej czytelników rekrutuje się ze stanu rzemieślniczego większych miast, jako żywiołu najlepiej oświeconego.

Sprytniejsi z pomiędzy przybywającej zwolna po roku osiemdziesiątym „inteligencyi“ wywąchali dosyć rychło, że gazeciarstwo polskie przedstawia niezłe szanse zrobienia karyery. Burżuazya amerykańska, obrabiająca na plecach niedojrzałego politycznie robotnika amerykańskiego swe interesy ekonomiczno-polityczne w tak zwanej partyi republikańskiej i demokratycznej, potrzebuje tak dla swego chwilowego dobra, jak i celem odwracania uwagi proletaryatu od rewolucyjnych dążności, usług dziennikarstwa ga-

dzinowego. Stworzyła ona ku temu doskonale rozwinięty system korumpowania prasy, wyznaczając dla niej stałe roczne zapomogi pieniężne. Kontroluje w ten sposób kilkaset gazet anglo-amerykańskich i niemieckich oraz najmniej 150 w innych językach. Ponieważ głos naturalizowanego polskiego najmity ma tę samą wartość, co i inne, zwróciła tedy również uwagę swą na dziennikarstwo polskie. Dzięki temu posypały się po roku 1880 po większych osadach polskie wydawnictwa gadzinowe. Politykom amerykańskim nie szło o to, czy utrzymane prawie wyłącznie ich kosztem pismo ma wartość literacką. Kwestya była tylko w tem, aby ono miało jaknajwiększą cyrkulacyę, i stosownie do takowej normowała się wysokość rocznej lub jednorazowej zapomogi. Dla założenia polskiego wydawnictwa tygodniowego nie było potrzeba dużego kapitału. Redaktor, zwykle i wydawca zarazem, kontentował się byle czem, zecerom płaciło się nędzne pensye, materyał „literacki“ nic zgoła nie kosztował; ekspedycya półdarmo, bo 1 centa portoryum od każdego funta drukowanej bibuły. Przeciętnie koszta tygodnika o objętości jednego codziennego numeru np. „Kuryera Warszawskiego“, z cyrkulacyą 1.000 — 3.000 egzemplarzy, dochodziły do 2.000 — 3.500 dol. rocznie. Partya republikańska lub demokratyczna płaci wydawnictwom polskim od 500 do 3.000 dolarów na rok. Resztę kosztów pokrywać muszą ogłoszenia kupieckie i prenumerata, wchodząca jednak najmniej w rachubę. Na takową bardzo mało się liczy przy zakładaniu pism. Zapłaci Maciek za gazetę, to dobrze; nie, to też nie rozpacza się.

Wobec braku jakiejkolwiek szerszej, a inteligentniejszej opinii publicznej wśród mas wychodźczych i wobec braku — wyjąwszy najwyżej 500 ludzi — czytelników posiadających smak literacki i rozsądne pojmowanie obowiązków i zadań prasy, wobec braku nakoniec osobników z wykształceniem, kwalifikującem ich do zajmowania miejsca na krześle redaktorskiem miernego nawet pisma, nie należy się wielce dziwić, jeśli dziennikarstwo polskie w Stanach Zjednoczonych stoi niżej od wydawnictw peryodycznych wszelkich innych narodowości w tym kraju. W ogólnym swym wyglądzie, prócz bardzo niewielu wyjątków i pomijając tendencye, przynosi ono narodowości polskiej i literaturze — wstyd. Owe tygodniki, redagowane w większości przez ludzi, stojących na bardzo nizkim stopniu umysłowym a jeszcze niższym moralnym, odznaczają się przedewszystkiem bardzo niestarannym językiem, często pisownią godną sztubaka z niższego gimnazyum. Niedbałość redaktorów udzieliła się również zecerom polsko-amerykańskim, w większości lichym majstrom swego kunsztu. Niektóre pisma tak są zapełnione błędami drukarskimi lub tak brzydko złożone, że aż przykro na nie patrzeć. Prócz kilku lepiej redagowanych pism, zawartość ich składa się zwykle z kilkunastu odgrzanych telegramów politycznych, z bardzo niestarannego przeglądu polityki amerykańskiej, z niedbale ułożonych wiadomości pobieżnych z życia kolonii polskich, z kroniki miejscowej, przeplatanej co chwila bezwstydnem reklamowaniem firm, ogłaszających się w danej gazecie, i z artykułów polemicznych, zwróconych przeciwko innym wydawnictwom. Polemika, zazwyczaj prowadzona w stylu mocno trącącym karczmą, nie czepia się rzeczy, poglądów lub zasad, ale osób i ich prywatnych spraw. Celują w tym względzie pisma kościelne. Między niezupełnie kościelnemi jest kilka, dla których wywoływanie skandalów i prowokowanie kłótni stanowi podstawę „kierunku“, postępu itp. Prasa tutejsza nazwała je trafnie pismami „rewolwerowemi.“ W felietonie umieszczają redaktorzy polsko-amerykańscy powieści, niemające zwykle wartości literackiej nawet dla mało wymagających czytelników; bardzo często rzeczy przestarzałe, jak powieści najstarszej daty Kraszewskiego. Reszty materyału dopełniają niestojące w proporcyi do rozmiarów pisma, marnie i nudnie napisane sprawozdania obchodów i tym podobnych objawów życia społecznego oraz w niektórych pismach skrzynka do listów dla prywatnych sporów i nieporozumień między czytelnikami i świecznikami „narodu“ w danej miejscowości.

Za śladem H. Nagla w Chicago i Sadowskiego, jednego z filarów narodowo-liberalno-mieszczańskiej partyi w Buffalo, poszły i inne pisma, umieszczając w kronikach miejscowych wiadomości tego rodzaju, że się temu i owemu urodził tęgi chłopak albo śliczna dziewczyna, do czego szanowna redakcya dodaje swój komentarz, że „Szczęść im Boże“ i oby dziecko urosło na tak dzielnego „wiarusa“ jak ojciec. Jest to dział wiadomości „dworskich.“ Bohaterami jego są nasi „wielcy ludzie“, śmietanka, do której należą dozorcy w fabrykach, utytułowani majorzy i kapitanowie organizacyi wojskowych, szynkarze, właściciele składów wiktuałów spożywczych i prezydenci towarzystw, których członkowie prenumerują lub mogliby prenumerować kiedyś tę a tę gazetę. W ten sposób kreuje się napuszonych nieuków i zera moralne na „wielkich w narodzie.“ Dzięki też temu pięknemu systemowi korumpowania ciemnych skądinąd zastępów czytelniczych, nie dziennikarze urabiają opinię publiczną, ale opinia naszych nieokrzesanych, prowincyonalnych wielkich głów trzęsie gazetami. Niektórzy redaktorzy pism polsko amerykańskich, co to nieraz lamentują nad brakiem szacunku czytelników dla „szczytnych zadań prasy“, nie potrzebują zwalać winy na czyje inne, jak swe własne barki. Chłopek i robotnik polski, który się stał w Ameryce mecenasem chociażby i przymuszonym dziennikarstwa, nie może mieć poważania dla gazety, która za cenę ogłoszenia, 2 dolarów prenumeraty i spodziewanego przypływu nowych abonentów robi pierwsze lepsze indywiduum „wielkim.“

Dziennikarstwo polskie w Stanach Zjednoczonych dzieli się na dwa wyraźne obozy: Jedne pisma, wydawane przez księży, bronią li tylko interesów tychże, drugie „świeckie“ uznają program liberalno-narodowy Związku, co im jednak nie przeszkadza palić hymny pochwalne na cześć tego lub owego „zacnego duszpasterza.“ Ci ostatni wywdzięczają się za prawione im komplementy w ten sposób, że nakazują swym parafianom z ambony czytywać a głównie płacić za odnośne pisemko. Do rzędu pism kościelnych potępiających wszystko, czego Ojciec Święty nie każe, należą: „Polak w Ameryce“, w Buffalo; „Gazeta Katolicka,“ „Dziennik Chicagowski,“ „Wiara i Ojczyzna“ oraz „Sztandar“ w Chicago; „Katolik“ w Winonie, Minn.; „Prawda“ i „Wiek“ w Detroit i „Przyjaciel Ludu“ w Pittsburgu. Do pism świeckich, mniej lub więcej narodowych, liberalnych czy bardziej konserwatywnych: „Kuryer Polski“ i „Słowo“ w Milwaukee, „Echo“ w Buffalo, „Polonia w Ameryce“ w Cleveland, „Polonia“ w Baltimore, „Gazeta Polska“ w New-Yorku, „Górnik“ w Wilkesbarre (Pensylwania), „Patryota“ i „Głos Polski“ w Filadelfii, „Gazeta Polska“ (konserwatywna i klerykalno-narodowa), „Zgoda“ oraz „Nowe Życie“ w Chicago, „Kuryer“ i „Ameryka“ w Toledo, a wreszcie „Jutrzenka“ w Cleveland. „Nowe Życie“, będąc na żołdzie partyi republikańskiej, zajmuje względem ruchu robotniczego, o ile tenże nie identyfikuje się z socyalizmem, stanowisko przyjazne, a względem polityki papieskiej i księży polsko-amerykańskich — otwarcie wrogie. Reprezentuje ono kierunek radykalno-burżuazyjny a z redaktorem swym K. Wildem stanowi lewicę, pchającą Związek Narodowy Polski ku szero-

kiej tolerancyi wyznań i przekonań społeczno-politycznych.

„Jutrzenka“ jest typem „rewolwerowego“ pisma. Redaktor jej M. A. Chrostowski, człowiek obdarzony ładnemi zdolnościami literackiemi ale bez poważniejszego wykształcenia i o awanturniczem usposobieniu, zapełnia trzy czwarte swego pisma atakami na życie prywatne księży i redaktorów oraz filarów społeczeństwa polsko-amerykańskiego. Słownik technicznych, obelżywych wyrazów jest tu szczególnie bogaty. Energicznie prowadzona wojna przeciwko papieżowi i ks. Rosińskiemu oraz ks. Ignasiakowi w Cleveland doprowadziła do tego, że utworzyła się w tem mieście niezależna od Rzymu parafia katolicka na gruncie narodowym a pod wodzą wyklętego z dyecezyi księdza Kolaszewskiego. Takaż schizmatycka parafia, z ks. Kolasińskim na czele, egzystuje już od półtora roku w Detroit, Michigan. „Jutrzenka“ uznaje także potrzebę reform ekonomicznych dla klasy robotniczej. Buffalowskie „Echo“ reprezentuje demokracyę galicyjską z domieszką ludowości à la „Orędownik“ w Poznaniu i niebezpiecznej dla nieuświadomionych robotników demagogii. Niewyraźność zasad i kuglarstwo dziennikarskie uprawia „Patryota“ w Filadelfii, broniący zarazem i ojca św. i księży i „najświętsze“ interesy narodu.

Wszystko to pisane jest w polszczyźnie, zapożyczonej ze schyłku XVIII wieku, a w dodatku rojącej się od dyabłów zecerskich. „Patryota“ rozkoszuje się na widok „junackich, sarmacko i rycersko“ wyglądających krakusów i ułanów a nie mniej na widok spracowanych, z małymi wyjątkami niezładnych, córek najmity polskiego w Ameryce, które nazywa „uroczemi córami Wandy“, „naszemi o niezrównanym wdzięku, kibici i ognistem spojrzeniu polkami“ i wykrzykuje, że najpiękniejszej amerykance ani się mierzyć z „dziewicą sarmacką“. Wszelkie, nawet najdrobniejsze artykuły i sprawozdania mieszają się ciągle z ciężkiemi westchnieniami, łkaniem i nawoływaniem niebios o zemstę za straconą ojczyznę, do tego straszne groźby ludzkie, piekielne i niebieskie dla cara i jego oprawców, ton artykułów traktujących sprawę niepodległości Polski nastrojony tak śmiesznie rewolucyjnie, jak gdyby powstanie miało wybuchnąć nie dziś, to jutro. Czytelnikom, z których większość nie rozumie dziwacznie upstrzonego języka „Patryoty“, przypomina się wciąż o konieczności pamiętania o honorze i sławie narodu polskiego. Dla polskich szynkarzy i kramarzy w Filadelfii reprezentujących „nasz przemysł i dobrobyt“ niema pochwał dosyć wysokich. Jako wiadomość „dworską“ raportuje się np. urodzenie dziecka w ten sposób, że „bocian uszczęśliwił naszego czcigodnego, szanownego Z. lub X.“ Co tylko ma pretensye do wielkości, tytułuje się nieinaczej jak : nasz szanowny, przezacny, szlachetny, ofiarny itp. prezydent, kapitan, duszpasterz. Ktoś trafnie nazwał „Patryotę“ starą dewotką.

Prócz „Dziennika Chicagowskiego“ i „Kuryera Polskiego“ w Milwaukee, które wychodzą codzień, oraz wychodzącego dwa razy w tygodniu „Polaka w Ameryce“ w Buffalo, wszystkie inne wydawnictwa są tygodnikami. Do pism, wyróżniających się bądź to pokaźniejszą formą, bądź lepszą i staranniejszą treścią, należą oba wymienione dzienniki, „Polonia“ w Baltimore, „Ameryka“ w Toledo i „Gazeta Polska“ w New-Yorku. Niemniej stara „Gazeta Polska“ w Chicago. Do najzdolniejszych redaktorów zaliczyć wypada Henryka Nagla z „Dziennika Chicagowskiego.“ Człowiek ten, handlujący swem piórem, ma dosyć sprytu i obłudnej demagogii, by módz być niebezpiecznym.

Najmniej tuzin pism po krótkim żywocie upadło. Osławionym w tej mierze jest New-York. Bo też i warunki dla utrzymania pisma są tu najcięższe Emigranci polscy rozrzuceni są po całem mieście, tak że ich trzeba dopiero odszukiwać, czytelnicy zepsuci t. zw. „darmochą“ t. j. nadsyłaniem im od kilku pism niezamawianych egzemplarzy i dlatego niechętni do płacenia, a kolonia bardziej niż w innych miejscowościach wymagająca i rozdzielona na obozy polityczne. Żywioł postępowy, skłaniający się bądź do radykalnej ludowości już też do socyalizmu, trudno byle czem zadowolnić. Z pism pochowanych na cmentarzysku literackiem, wymienić trzeba założone przed 8 przeszło laty „Ognisko“, wydawane i redagowane przez doktora Z. Gruenberga w New-Yorku. Przedstawiało ono kierunek „Nowego Życia“, zbaczając jednak tak do teoretycznego socyalizmu jak niemniej do niekoniecznie wyrazistego radykalno-liberalnego skrzydła narodowców. Walcząc z suchotami finansowemi i z uprzedzeniem masy do redaktora semickiego, upadło po trzech blizko latach. Jeszcze znacznie krótszym żywotem cieszyło się wydawane też w New-Yorku pismo humorystyczne «Osa» pod redakcyą uzdolnionego w tym kierunku doktora Czupki. Również tygodnik humorystyczny „Bocian“, wydawany przez Z. Słupskiego w Buffalo oraz, dwutygodnik «Śmiech» w Trenton, stanie New-Jersey, znikły z widowni bardzo rychło.

Skutkiem napływu ludzi nieco inteligentniejszych w dziennikarstwie polsko-amerykańskiem nastąpiła od lat kilku zmiana ku lepszemu tak co do tonu, jak i staranności o wybór materyału literackiego. Kilka techniczno-gazeciarskich ulepszeń zaprowadził H. Nagiel, za którym poszły w ślad i inne pisma.

Straszny kryzys przemysłowy, grasujący od roku przeszło w Stanach Zjednoczonych, a stąd nędza i rozpaczliwy brak pracy dla polskiego robotnika, nie pozostają bez śladu na dziennikarstwie polsko-amerykańskiem. W obliczu tej nędzy, wywołującej po rozmaitych osadach polskich rewolucyjne objawy walki i nienawiści klasowej, tak kościelne jak i narodowe pisma nie śmią otwarcie stawać po stronie kapitału. Organy, które to dawniej czyniły, widocznie z obawy o utratę czytelnika, przyznają już nawet, że jest źle i że należałoby coś dla biednego robotnika uczynić, oraz, czego przedtem nie było, podają krótkie notatki z pola walki klasowej. Ostrzegając rozumie się przed socyalistami, pisma niedawno powstałe a wydawane przez księży, jak „Tygodnik Scrantoński“ w Pensylwanii, albo jak urzędowo kościelny „Sztandar“ w Chicago, lub wreszcie jak „Słowo“ w Milwaukee, wydawane przez typowego karyerowicza i dosyć niebezpiecznego demagoga jak K. Neuman, udają przyjaźń dla interesów klasy robotniczej. Jeszcze zaś przed 5 laty, przeglądając gazety polsko-amerykańskie, mogłoby się zdawać, że niema wcale na świecie robotników i ruchu najmickiego. Był tylko wtedy „naród polski,“ „honor narodowy,“ „polacy i ojczyzna,“ no i idealna jednolitość „interesów narodowych.“

Trzecim z rzędu objawem, charakteryzującym emigracyę tutejszą, jest omal nieograniczony, straszny w swych skutkach wpływ kleru polskiego. W koloniach zamieszkałych głównie przez chłopka i wyrobnika z Galicyi i z Poznańskiego, jako i przez rolników litewskich, ksiądz polski i litewski używa niemniejszej władzy od cara. Towarzystwa kościelne czyli bractwa parafialne pod wezwaniem rozmaitych świętych, bez szemrania muszą spełniać życzenia księdza proboszcza. W niewielu tylko parafiach księża poddają dochody kościelne ściślejszej kontroli zarządu. Ludzi, nie chodzących regularnie do kościoła, nie należących do parafii i bractw, obojętnych względem spełniania obrządków religijnych i łączących się w inne, zwłaszcza związkowe grupy, obrzuca się z ambony, przed zgromadzonym ludem, potokiem

obelżywych wyzwisk a często nawet wyklina i zaleca swym posłusznym owieczkom unikanie tych „parszywych owiec w trzodzie Pańskiej.“ Z pism niekościelnych te tylko nie są wyklinane, które chwalą wszystko, co wielebny proboszcz mówi i czyni. W kazaniach niedzielnych ksiądz wzbrania czytania pism robotniczych lub takich jak „Nowe Życie,“ grożąc wyklęciem i zemstą piekielnych mocy. W wielu wypadkach, zwłaszcza w obwodach górniczych Pensylwanii, duszpasterze polscy stawali otwarcie w zatargach pomiędzy kapitałem a pracą po stronie pierwszego, wzbraniali strejkowania i kazali wyniszczonym ofiarom kapitalizmu wracać do pracy w imię boga, wiary katolickiej i ojczyzny!

Jakie zbawienne skutki wywiera słowo boże i miłość chrześciańska, głoszone z kazalnic, wyświetla najlepiej fakt, że w miejscowościach, w których lud ślepo oddaje się władzy kościelnej, pijaństwo, kłótnia i bijatyka są na porządku dziennym. Ogółem ilość parafii polskich i litewskich sięga cyfry 238. Księża, wysysając w różne sposoby ostatni grosz z najmity polskiego, znajdują się bez wyjątku w bardzo pomyślnych stosunkach materyalnych. Wielu, „dorobiwszy“ się majątku, wraca później do Europy. Niektórzy liczą tysiące dolarów na krocie, a jest i kilku milionerów. Jedna tylko parafia w Chicago liczy 20,000 dusz. Socyaliści i agitacya wśród robotników są dla nich naturalnie kością w gardle. Jedyny wyjątek, gdzie miejscowy proboszcz unika mięszania się w sprawy świeckie i gdzie rzadziej się zwraca przeciwko t. zw. postępowym narodowcom oraz socyalistom, stanowi New-York. Bo też znajduje się w grodzie nad Hudsonem więcej stosunkowo „bezbożników“, ludzi albo otwarcie niechętnych albo obojętnych dla religii, niż po innych polskich koloniach. Toż kler uważa Nowo-Yorskich polaków za „czerwoną zarazę.“ Prywatne skandale tego kleru, stojące w rażącem przeciwieństwie z celibatem katolickim, są częstem zjawiskiem, wywołującem nieporozumienia pokrzywdzonych w swych przywilejach małżeńskich parafian.

Opinia publiczna amerykańskiej prasy burżuazyjnej o tyle odnosi się przyjaźnie do emigracyi polskiej, o ile polak najmita ma skromne wymagania, jeśli jest dobrym katolikiem i skoro święci tylko pamięć miłych dla burżuazyi nieklasowych uroczystości. Z właściwą pewnej a licznej sferze amerykańskiego dziennikarstwa brutalnością, płytkiem lub nawet urwiszowskiem pojmowaniem charakteru, temperamentu i popędów ludzkich, wiele gadzinowych organów tytułuje przy takiej lub innej okoliczności emigracyę polską jako „hordę dzikich, krwiożerczych mieszkańców Wschodu Europy“ i uważa ją za niepożądany nabytek dla narodu Stanów Zjednoczonych. Nie bardziej pochlebną dla wyrobnika polskiego była opinia nieco uświadomionego, mniej lub więcej zorganizowanego amerykańskiego proletaryatu, a to do roku 1890. Lepsze zapatrywanie się na wartość polaka najmity, jako towarzysza pracy i niedoli, zaczęło powstawać dopiero, gdy koło tego czasu coraz to częściej i robotnik polski brał udział w potyczkach między kapitałem i pracą i gdy tu i owdzie utworzyły się polskie, acz słabe liczebnie, organizacye robotnicze. Odtąd, a szczególnie w ostatnim olbrzymim strejku górniczym, jaki powstał z końcem ubiegłej zimy, amerykańskie dziennikarstwo robotnicze doszło do przekonania, że robotnik polski może nawet ewentualnie stać się dzielnym i solidarnym towarzyszem w walce o lepszą przyszłość. Obecnie zrzeszony proletaryusz anglo- lub germańsko-amerykański już nie nazywa z góry każdego polaka „skabem.“ Jeżeli zaś i teraz jeszcze, acz nader rzadko, polak zajmuje miejsce strejkującego tubylca, to jedynie dzięki bardzo słabo rozwiniętemu u polskiego chłopa oraz prowincyonalnego wyrobnika uczuciu solidarności, jakoż dzięki stojącym zawsze po stronie kapitału sługom bożym.

Dosyć spory procent kryminalnych przestępstw, jak np. małe kradzieże i bijatyka, wypada na kolonie polskie w Buffalo i Chicago. Dzieje się to naturalnie skutkiem chronicznie panującego tam braku pracy i ciemnoty. Moralnie najniżej stoi polsko-amerykańska młodzież, czy to zrodzona na tej ziemi, czy bardzo młodo przybyła z kraju. Pędzona bardzo wcześnie do fabryk, żyje w otoczeniu nie wzmacniającem lepszych instynktów, a nabierając najgorsze wady robotniczej młodzieży amerykańskiej dużych centrów przemysłowych, stanowi ona dla propagandy socyalistycznej bardzo niewdzięczny materyał. Zamerykanizowana młodzież polska rzadko mówi płynnie językiem swych ojców. Pogardzając zazwyczaj takowym, włada tylko miernie angielszczyzną uliczną. Znamionuje ją, prócz ogólnego braku okrzesania, lekceważenie dla prostaka ojca wyrobnika, gburowatość, dzikość popędów i zgnilizna pojęć moralnych. Skostniałe, nie zgadzające się z duchem czasu i otoczenia morały kościoła nie potrafiły dotąd i nie zdołają również w przyszłości wyrwać ją ze stanu dzikości. Jeżeli ewangelia socyalizmu, niosąc w darze nowe światło, nowe, ciepłe nadzieje, nie zwróci jej na inne tory, to młodzież polsko-amerykańska gotowa pomnożyć szeregi wysoce niebezpiecznej dla klasowej walki armii „proletaryatu hołoty.“

III.

Wśród niezbyt przyjaznych warunków, mając przeciw sobie z jednej strony potężny kler a z drugiej propagatorów „organicznej i narodowej pracy,“ wszczął się przed 10 laty ruch socyalistyczny, koncentrując się do roku 1892 w New-Yorku. Najmita, któremu wtedy nie było tak trudno otrzymać zatrudnienie, w porównaniu z zarobkami w ziemiach polskich dobrze płatne, nie interesował się kwestyą socyalną. Dla niego te lepsze zarobki, swoboda polityczna i nieodczuwanie pogardy ze strony klas uprzywilejowanych czyniły Amerykę ziemią obiecaną. Obawiał się, że socyalizm wydrze mu ten raj, nie ofiarując w zamian nic lepszego. Chłopu i wyrobnikowi polskiemu, który się mógł za swą pracę nieźle odżywiać, ubierać przyzwoicie, chodzić na bale i odkładać jeszcze kilka dolarów do banku, zdawało się, że jest panem. Nic też dziwnego, że pod wpływem takich pojęć, nie badając smutnych rezultatów ulepszania się maszyn, wywołujących ciągłe rewolucye w gospodarce, pod wpływem dziennikarstwa, trzymającego się rękami i nogami poły burżuazyi i unikającego jak ognia omawiania interesów robotniczych, wielu stosunkowo robotników poczęło chorować na „pański patryotyzm.“

Wtedy to garstka byłych studentów zawiązała w New-Yorku w r. 1885 pierwszą organizacyę socyalistyczną, pod nazwą „Równość.“ Między innymi byli tam Dr. Szlupas, L. Dewoyno, (obecny redaktor „Polonii w Ameryce“), nieodżałowanej pamięci M. Andriukajtys i A. Moren. „Równość“ przystąpiła niedługo jako oddzielna sekcya do polskiej organizacyi socyalno-rewolucyjnej „Proletaryat“. Składając się z ludzi walczących z nędzą inteligentniejszego, niefachowego emigranta, z osobników nie mających wiele styczności z klasą robotniczą i zapatrujących się na dążności socyalizmu ze strony bardziej idealnej, nie posiadając zresztą w gronie swem agitatorów, „Równość“ nie zdołała w ciągu swej działalności wywalczyć sobie praw obywatelstwa i uzyskać zaufanie wśród robotników polskich. Szło tu więcej o walkę z patryotyzmem i religią, niż o szerzenie w umysłach robotnika właściwych pojęć ekonomicznych, narzucanych już przez samo życie fabryczne. Jeżeli w tym względzie agitacya „Równości“ miała na pó-

żniejszej socyalistycznej działalności odbić się ujemnie, to bądź co bądź poruszyła niektórych i wskazała następcom, czego należy unikać. Największą zasługą „Równości“ była wszczęta i regularniej acz nie bez błędów prowadzona sprzedaż broszur, sprowadzanych wówczas z Genewy.

W kwietniu r. 1887 nastąpiło zlanie się „Równości“ z kółkiem robotników już to stojącem pod wpływem swych socyalistycznych organizacyi zawodowych, już narodowego socyalizmu lub radykalnego patryotyzmu. Przyjęto nową dla tej powiększonej organizacyi nazwę „Oświata.“ Złożona z elementu, zrośniętego z otoczeniem robotniczem, „Oświata“ zdobyła sobie bardzo rychło sympatyę ogółu polskiego, i doszedłszy do kulminacyjnego punktu, gdy miała na liście 40 członków, upadła po roku istnienia. Winą tego był brak taktu i dostatecznej świadomości u jednych, u drugich brak charakteru i wnoszenie do organizacyi prywaty. Tym to brakom a szczególniej nieposiadaniu organu, któryby, rozszerzając coraz dalej horyzont umysłowy i wzmacniając przekonania, utrzymywał konieczną spójnię, jednolitość, solidarność i ducha partyjnego, należy przypisać małą bardzo ilość członków i łatwe rozsypywanie się polskich związków robotniczych w Ameryce.

Socyaliści polscy weszli na właściwe tory, gdy zaraz po rozwiązaniu się „Oświaty“, utworzyli, w liczbie 15 członków, sekcyę amerykańskiej socyalistycznej partyi robotniczej. Było to w lipcu 1890 roku. Połączywszy dążności swe z codziennymi interesami proletaryatu amerykańskiego, przestali oni być niezależną sektą propagandy, a stali się uczestnikami w przemysłowem i politycznem życiu tego kraju. Rozpoczęte wtenczas i urządzane regularnie co kilka tygodni t. zw. zebrania ludowe, na których wymowniejsi z członków objaśniali cele socyalizmu i kwestye bieżące, w braku pisma kształciły choć trochę ogół polski w New-Yorku. Przeciętnie zgromadzało się na tych zebraniach od 100 do 200 osób płci obojga. Kobiety przychodziły więcej dla następujących po zebraniu tańców. Przy tem była najlepsza sposobność do sprzedaży broszur. Zyskując powoli zwolenników, których liczba dochodzi w New-Yorku najpewniej do 300 osób, organizacya nie zdołała jednakowoż żadną miarą podnieść liczby członków. W miejsce nowo wstępujących starzy albo występowali albo opuszczali New-York. Byłoby lepiej, gdyby na czele ruchu stali polacy słowiańskiego a nie semickiego pochodzenia.

Agitacya pomiędzy robotnikiem polskim stawała się z każdym rokiem łatwiejszą dzięki coraz bardziej niestałemu i pogarszającemu się zarobkowi. Walka o byt znośny miażdżyła pańskie zapatrywanie się ludu na świat. Takowy instynktownie czuje, że jedynie socyalizm może go dźwignąć z bagna kapitalistycznego.

Z inicyatywy W. Edmunda powstała druga sekcya polska partyi socyalistycznej w Chicago, w r. 1892. Po półtora roku znikła ona z widnokręgu tak dzięki ogólnej demoralizacyi ruchu najmickiego w tem mieście, którą zaprowadzili krzykacze anarchistyczni, jak skutkiem braku energiczniejszych i uświadomionych osobników. Kryzys przemysłowy zadał jej cios śmiertelny, pozbawiając $^3/_4$ członków zajęcia. W rozkwicie swym sekcya chicagowska miała na swej liście czterdziestu wpisanych towarzyszy. W tymże samym roku energiczna kobieta, doktorowa Anna Reinstein, założyła sekcyę w Buffalo. Takowa mimo strasznej a chronicznej nędzy panującej tamże pomiędzy ludem polskim, rozwija się dobrze i liczy sporo przyjaciół. Członków stałych ma być 25.

Katastrofa ekonomiczna, która niby huragan nawiedziła Stany Zjednoczone w połowie 1893 roku, wyrzucając z fabryk tysiące robotników, wlała w polski ruch socyalistyczny nowe życie i wzmocniła takowy poważnie. Sekcya polska w New-Yorku pochwyciła znakomitą sposobość do agitacyi i urządziła z wielkiem powodzeniem szereg zebrań, na których wyjaśniano przyczyny kryzysu i potrzebę organizowania się. Słowa padały na żyzny grunt i w krótkim czasie powstały t. zw. Oddziały Socyalistów Polskich w położonych blizko New-Yorku dużych miejscowościach fabrycznych, w Brooklynie, Jersey City i Newark'u. Ilościowo i jakościowo stał najsilniej Oddział w Newarku. W kilku miesiącach zdołał on z pomocą urządzanych często zebrań publicznych zdobyć szturmem dla idei socyalistycznej całą prawie, koło 500 dusz liczącą, kolonię polską. Jak dalece socyalizm przedostał się nawet do nabożnych i regularnie uczęszczających do miejscowego polskiego kościołka niewiast, można wnosić z faktu, że ksiądz czuł się zmuszonym, z obawy o utratę parafian, zaprzestać napadów na agitacyę socyalistyczną. Newark stanowi pierwszą osadę polską, gdzie socyaliści stanowią większość. Organizacya liczy 25 przeszło członków, ale byłoby stu, gdyby nie brak chleba i pracy. To samo również stosuje się do Jersey City i Brooklynu. Oddziały w tych dwu miastach mają po 10 — 15 członków.

Agitacya socyalistów polskich otrzymała pewien całokształt i lepszy kierunek na zjeździe, odbytym 25 lutego 1894 r. w Newarku z współudziałem 80 towarzyszy, reprezentujących 4 Oddziały. Uchwalono wtedy między innemi połączyć wszystkie już istniejące jako też mające później się wyłonić Oddziały w jedną organizacyę pod nazwą „Związek Oddziałów Polskich Socyalistycznej Partyi Robotniczej w Stanach Zjednoczonych.“ Komitet Wykonawczy z siedzibą w New-Yorku załatwiać ma korespondencyę z organizacyami polskich socyalistów w Europie, wysyłać mówców, zakładać nowe Oddziały, kontrolować sprzedaż broszur i rozpowszechniać w miarę możności „Przedświt.“

Tymczasem, w miarę trwania kryzysu, coraz to częściej dochodzą z innych kolonii polskich wieści o czynionych próbach organizowania robotników w sekcye partyi socyalistycznej. Towarzysze niemieccy nie szczędzą kosztów na ten cel. Masowe zebrania dla polskich robotników odbyły się w Milwaukee, Detroit, Pittsburgu, Salamanca, niedaleko Buffalo, Cleveland i La Salle w stanie Illinois a blizko Chicago. W Cleveland przystąpiło nawet w pierwszym entuzyazmie 800 najmitów polaków do t. zw. „Unii Robotniczej.“ Wszakże bez uświadomionych organizatorów żadne stowarzyszenie nie będzie w stanie utrzymać się. Polski robotnik łaknie teraz wszędzie zbawczych rad socyalizmu, ale niema komu głosić słowa prawdy, a socyalistom polskim w New-Yorku i okolicy brak funduszów na wysyłanie do powyżej wymienionych miejscowości agitatorów.

Prócz związków socyalistycznych, do których robotnik polski jeszcze najchętniej wstępuje, istnieją dwie fachowo-rzemieślnicze organizacye polskie, oparte na klasowej walce. Są to unie stolarzy N° 34 w Chicago i N° 17 w Brooklynie. Pierwsza ma około 40 członków i trzyma się jako tako, druga w Brooklynie z trudnością oddycha. Niektóre błędy taktyczne, popełniane przez wszystkie związki fachowo-rzemieślnicze w Stanach Zjednoczonych, nieznajomość języka w tychże używanego i pewna ospałość na punkcie łączenia się pod sztandar walki czysto ekonomicznej składają się na to, że tak niewielu wykwalifikowanych polskich rzemieślników znajduje się na liście polskich unii stolarskich i amerykańskich stowarzyszeń zawodowych wogóle. Przystępuje do nich polski rzemieślnik, gdy musi, skoro za pomocą swej do unii przynależności spodziewa się dostać lepiej wynagradzane miejsce. W Chicago i New-Yorku organizacye robotników budowlanych mają po kilkudziesięciu polaków,

ukrywających się nie rzadko pod obcem, niemieckiem nazwiskiem. Okrom tego są jeszcze w Chicago, Buffalo i w Milwaukee towarzystwa zawodowych polskich robotników jak „Stowarzyszenie Cieśli i Stolarzy," krawców, szewców im. Jana Kilińskiego i murarzy pod opieką któregoś świętego, w Chicago; nie można ich jednak uważać za organizacye poświęcone walce z kapitałem. Stoją albo pod wpływem kościoła albo narodowców burżuazyjnych i zajmują się głównie wspieraniem chorych członków. Częstokroć dostarczały już te towarzystwa zdrajców w walkach strejkującego amerykańskiego robotnika. W New-Yorku istniała przez krótki czas „Unia robotników cementowych № 3," złożona z kilkunastu polaków, a opodal, w Brooklynie, unia szewcka, do której również należała większa ilość szewców polskich. Zorganizowali się również niedawno w Chicago piekarze polscy a w Filadelfii krawcy litewscy. Obie organizacye oparte na walce klasowej.

Objawem, świadczącym pochlebnie o inteligencyi robotników polskich jest fakt, że teorye anarchistyczne nie przyjmują się w ich umysłach. Korzystając z rewolucyjnego usposobienia, jakie wśród polskiego ludu musiało nastąpić wskutek braku pracy, osławiony w Londynie i w Galicyi, Józef Rybakowski zorganizował w Chicago w zimie 1894 r. dwie grupy anarchistyczne, bardzo nieznaczne ilościowo, a ukrywające się pod firmą „Związek Robotników Polskich w Ameryce." Niedługo one egzystowały, a generał anarchistów polskich opuścił Chicago, sformowawszy polski oddział armii Coxey'a. Z inicyatywy jego ujrzał również w tem mieście światło dzienne tygodnik anarchistyczny „Gazeta Robotnicza," której pierwszy numer wyszedł 24 lutego 1894 r. Sprawami Związku Robotników zawiadywać miał Komitet Wykonawczy. W skład tegoż wchodzili S. Bombiński, G. Nelson, M. Krene, K. Jabłkowski i inni, ludzie szczerze oddani sprawie robotniczej, ale nie posiadający ani dostatecznego zrozumienia ekonomii społecznej ani znajomości rozwoju amerykańskiej klasy robotniczej i jej potrzeb. „Gazeta Robotnicza" upadła, pozostawiwszy w głowach i tak już ciemnych i niezdolnych do jasnej krytyki większy jeszcze nieład. Robotnicy, co już odczuli potrzebę organizacyi, zmięszali pojęcie socyalizmu i anarchizmu w jedno.

Dla polskiego ruchu socyalno-demokratycznego wielka to szkoda, że taka anarchia pojęć nastąpiła w Chicago, w tem Chicago, gdzie już i tak niemieccy i inni agitatorzy anarchistyczni, wespół ze sprzedajnymi konserwatywnymi przywódcami zorganizowanego w związki fachowe amerykańskiego proletaryatu, zdemoralizowali i zniszczyli ruch najmicki wogóle, w tem Chicago, stolicy burżuazyjnych aspirantów do miejsc i milionerów księży, trzymających jęczący w nędzy lud polski w kajdanach średniowiecznego absolutyzmu i ciemnoty, chylącej się kornie przed pierwszym lepszym marnym filarem kościoła katolickiego lub idei narodowej, jak ją rozumie burżuazya w Związku Polskim. Nielada trzeba będzie pracy, aby oczyścić ruch robotników polskich tego miasta z naleciałości anarchistycznych. Tymczasem ruch tameczny, o ile wychodzi jeszcze z grupy anarchistycznej „Siła," ukrywającej zresztą także swój anarchizm pod maską „rewolucyjnego socyalizmu" lub „idei robotniczej", nie ma żadnego wpływu i znaczenia. Wijący się w konwulsyach bezrobocia proletaryusze polscy tego grodu nad potężnem jeziorem Michigan nie znajdują w rozpaczy swej punktu oparcia. Do anarchizmu nie mają zaufania, w stowarzyszenia fachowe, walczące z kapitałem tylko za pomocą tępej i przestarzałej broni strejków i bojkotów, nie wierzą, a na jedyną drogę zbawienia dla amerykańskiego robotnika, na drogę świadomej celów akcyi politycznej ludu roboczego, niema ich komu prowadzić.

W styczniu 1893 r. zaczęło wychodzić w New-Yorku „Światło", dwutygodnik reprezentujący w całości socyalną demokracyę. Doczekało się jednak tylko 17 numerów. Niedostateczne fundusze, brak uzdolnionych zarządców i wybuchły w tym czasie kryzys przyczyniły się w równej mierze do upadku tego pisma. Jeżeli „Światło" upadkiem swym wyrządziło wszczynającemu się na dobre ruchowi pomiędzy robotnikami polskimi znaczną szkodę, to bądź co bądź wyklarowało nieco umysły kilkuset swych odbiorców i przygotowało grunt dla innego wydawnictwa. Wykazało także, że pismo socyalistyczne, występujące śmiało i otwarcie, może się utrzymać, byle tylko dołożyć pracy i starań. Że taktyka „Światła": pozostawienie na uboczu ataków na księży i religię jako też sporów z gazeciarstwem polsko-amerykańskiem, była stosowną, świadczy to, że żadne pismo nie miało dosyć cywilnej odwagi wszczynać polemikę i zaczepiać teorye, głoszone przez urzędowy organ Socyalistycznej Partyi Robotniczej. Dziennikarstwo zamanifestowało niechęć swą dla pisma broniącego wyłącznie interesów robotniczych — milczeniem. Przyjaźniejsze od lat dwu stanowisko prasy polsko-amerykańskiej wobec objawów ruchu najmickiego jest także w pewnej mierze zasługą „Światła."

Przed 6 już laty wychodził w Buffalo, w nieregularnych odstępach czasu, socyalistyczny po części „Wolny Głos", wydawany przez W. Zawiszę, człowieka wykolejonego na umyśle przez rozmaite przejścia życiowe. „Wolny Głos" nie miał czytelników i nie uzyskał znaczenia. Wydawca, z profesyi zecer, zamienił go potem na „Słowo", wychodzące od czasu do czasu. Kilku zaledwie numerów doczekał się wyszły z tego samego źródła miesięcznik „Socyalista", o bardzo skromnym wyglądzie. Wszystkie te jednodniówki Zawiszy, niestarannie redagowane i umierające rychlej niż się zrodziły, nie mogły u robotników w Buffalo wzbudzić poszanowania i wiary w ruch socyalistyczny.

Obecnie ruch nie posiada organu. „Przedświt" dostępnym jest dla inteligentnych osobników a „Gazeta Robotnicza" w Berlinie nie odpowiada potrzebom i wymogom amerykańskiego czytelnika. Świetne rezultaty mogłaby wydać systematycznie i z energią prowadzona kolporterka broszur, które emigrant w Stanach Zjednoczonych już dlatego kupuje chętniej, że są polskie. Trudno tu bardzo o tanie wydawnictwa ludowe w polskim języku. Gdyby w każdej większej kolonii znaleźli się dobrzy agenci, łatwo by sprzedać rok rocznie po kilka tysięcy kalendarzy robotniczych i broszur. W tym względzie uczyniono jeszcze bardzo mało. Ze sprzedaży wydawnictw ruch w starym kraju mógłby ciągnąć ładne korzyści materyalne i użyć takowe na zbogacenie polskiej literatury socyalistycznej świeżymi nabytkami.

Milion wychodźtwa w Ameryce Północnej czeka zrzeszenia pod nowe hasła bojowe. Agitatorzy, zmuszeni opuszczać kraj rodzinny, znajdą tu dla siebie obszerne i wdzięczne pole działalności.

Potrzeba zorganizowania polskich najmitów w Stanach Zjednoczonych staje się tem gwałtowniejszą, im szybciej, dzięki szalonemu pędowi maszyneryi w gospodarce kapitalistycznej tego olbrzymiego i bogatego z natury kraju, proletaryat amerykański będzie się czuł zmuszonym chronić przed widmem śmierci pod skrzydła rewolucyjnego programu socyalizmu. Katastrofa przemysłowa, burząc setki tysięcy egzystencyi i świeży w pamięci robotnika przegrany strejk kolejowy, już oczyściły atmosferę w kołach zainteresowanych z bakcylów gnuśności i zarozumiałości z powodu osławionej wolności amerykańskiej. Anarchia stosun-

ków burżuazyjnych, rodząca ciągłe przesilenia w życiu przemysłowo-handlowem narodów. przyjmuje już teraz w Stanach Zjednoczonych formy zastraszające. Proletaryat widzi przed sobą czarną otchłań, skąd wieje nań gorące powietrze bezrobocia, walki bratobójczej o kawałek chleba, nędzy chronicznej, głodu i zgonu! Te piekielne moce zdruzgoczą w atomy potężny dziś jeszcze nad ludem polskim wpływ księży i zachcianki pańskie, które się wkradły do pewnych sfer robotniczych.

Cokolwiekbądź da się powiedzieć o propagandzie narodowców związkowych, trzeba wszakże przyznać, że obudziła ona w emigracyi poczucie narodowościowe i godność i uczyniła ją odporniejszą wobec dążności rusyfikacyjno-germanizatorskich. Wlała także do serc chłopa i robotnika polskiego miłość kraju, nienawiść do ucisku rządów zaborczych i chęć odzyskania niepodległości.

Wychodźtwo nauczyło się także w Stanach Zjednoczonych jednej rzeczy ważnej dla postępu ludzkości wogóle, a klasy robotniczej w szczególności: nauczyło się mieć potrzeby, których nie znało w swym kraju rodzinnym. Najmita polski umiał się w krótkim czasie zastosować do bardziej wymagającego otoczenia i począł trzymać gazety, należyć do towarzystw i klubów, chodzić na bale i pikniki a nawet koncerty, ubierać się przyzwoicie i jadać trzy razy na dzień mięso. Daje to rękojmię, że skoro zrozumie, iż urzeczywistnienie programu socyalistycznego da mu lepsze jeszcze wygody, wyższe zapewni mu potrzeby i stanowisko, chętnie przyłączy się do szeregów rewolucyjnej armii proletaryatu.

Wł. Fiszler.

New-York w lipcu 1894 r.

ARESZTY W ROSYI

Pisaliśmy już o olbrzymich aresztach, które odbyły się w Rosyi w pierwszych dniach maja r. b. Podobno powtarzają się one jeszcze, pomimo tego, że dotąd uwięziono już około 500 osób. W spisie aresztowanych znajdujemy między innymi jedno polskie nazwisko — Konstanty Włosowicz (student petersburskiego instytutu leśniczego) z notatką, że został on odwieziony do Warszawy.

Ale co jest dla nas bardziej zajmujące, to treść owej odezwy. której 6.000 egzemplarzy wydrukowanych policya zdołała pochwycić. Odezwa ta została zagranicą przedrukowaną. Program, w niej wystawiony, brzmi jak następuje:

„Ponieważ niema i nie może być nadziei na to, by rząd wstąpił dobrowolnie na drogę, wskazaną powyżej (udzielenie instytucyi reprezentacyjnych), zatem ludowi pozostaje jedno tylko: przeciwstawienie nieruchomości rządu i ciasnym interesom dynastycznym samowładztwa potęgi zorganizowanej opinii publicznej. Partya *Prawa Ludu* stawia sobie za zadanie stworzenie takiej siły.

„Partya sądzi, że prawo ludu zawiera w sobie zarówno prawo do swobód politycznych, jak i do zaspokojenia potrzeb materyalnych, na podstawie produkcyi narodowej (?). Rękojmią tego prawa służyć będą:

„Rząd reprezentacyjny, opierający się na powszechnem prawie głosowania.

„Wolność wyznań.

„Niezawisłość sądu.

„Swoboda prasy.

„Swoboda zebrań i stowarzyszeń.

„Nietykalność jednostki i jej praw ludzkich.

„Zważywszy, że Rosya nie stanowi całości jednolitej, ale bardzo złożone ciało polityczne, niezbędnym warunkiem swobody politycznej jest udzielenie prawa samodzielnego stanowienia o swym bycie politycznym (politiczeskawo samoupravlenia) wszystkim narodowościom, w jej skład wchodzącym.“

Widzimy zatem, że jest to jeszcze jedna odbitka programu liberalnego. który już tyle razy spotykaliśmy. Partya „prawa ludu“ nie zwraca się do klas pracujących, ale do całego „społeczeństwa“, z żądaniem, by siłą opinii publicznej zmusiło cara do dania ustępstw i, zupełnie konsekwentnie, wyklucza ze swego programu wszelkie żądania, które by mogły to „społeczeństwo“ przestraszyć. Jest tam co prawda niewyraźne napomknienie o „potrzebach materyalnych,“ które powinny być zaspokojone, ale cóż kiedy jako środki do ich zaspokojenia wystarczają według zdania autorów odezwy — powszechne głosowanie. niezawisłość sądu itp. rzeczy. Charakterystyczne również jest to, że w całej odezwie słowo socyalizm nie napotyka się ani razu.

Ale to jest właśnie, co się autorom odezwy chwali. Przynajmniej nie mamy tu do czynienia z tymi ziemiowodnymi tworami, które występowały pod sztandarem socyalizmu, a jednocześnie najstraszniejsze herezye o nim prawiły. Oczywista rzecz, że sympatyczniejszem byłoby dla nas rozbudzenie się ruchu socyalistycznego w Rosyi, ale tu w każdym razie wiemy, z kim mamy do czynienia.

Końcowy ustęp można sobie tak tłomaczyć, że nowa partya gotowa jest żądać niezależności narodów, przez Rosyę uciskanych. ale zbyt on jest niewyraźnie sformułowany, byśmy zaraz mieli zeń tak śmiałe wnioski wyciągnąć. Lecz nawet przypuszczając takie pojmowanie kwestyi, sformułowanie jego jest bardzo nieszczęśliwe, gdyż niepodobna przecie odzywać się w jednaki sposób o *wszystkich* narodowościach, przez Rosyę uciskanych, np. prawo Polski do niepodległości uznać powinien każdy rzetelny rewolucyonista rosyjski, gdy żądanie wykrajania niezależnych państewek z wszystkich plemion czeremisów, mordwinów itp. byłoby zupełną utopią. W każdym razie dla nas miarodajnem może być tylko wyraźne przyznanie naszego prawa do bytu samodzielnego.

Z KRAJU I O KRAJU

Warszawa, w sierpniu. — W ostatnich tygodniach zmarł w cytadeli towarzysz **Teofil Sidorowicz**. W pogrzebie wzięła udział znaczna bardzo ilość robotników, a na trumnie złożono wieniec z czerwonemi wstęgami i z napisem: „Od towarzyszy pracy“.

D. 6-go sierpnia odbył się, również przy bardzo licznym udziale publiczności, pogrzeb towarzysza **Jana Ledera**; tym razem złożono także wieniec, pochodzący od robotników z Łodzi i Warszawy, z napisem: „Ofierze idei“.

Wypuszczono jednego z aresztowanych mularzy, Podsiadłego; trzej inni (Józef Taras, Józef Wójtas i Bartoszewicz) trzymani są dotąd w więzieniu.

W czwartek 23 b. m. aresztowano Binglową, żonę krawca, siedzącego w cytadeli od czerwca r. z. Sprawa, zdaje się, w dalszym ciągu jest nieskończoną.

Sensacyjna wiadomość to — dymisya władzy uniwersyteckiej: rektora, inspektora i dwóch pomocników. Spodziewali się orderów, a tu dymisya!

Tomasz Wokaum, robotnik z fabryki welocypedów Emila Herżmana, został skazany za — nieudowodnione mu wcale — pobudzanie współpracujących do wytrwania w strejku na 8 miesięcy więzienia. Jak widać

ze sprawozdań nawet pism legalnych, sędziemu do tak surowego wyroku wystarczyło oskarżenie przez fabrykanta.

Sp.

* * *

W warszawskiej tajnej drukarni partyjnej wyszedł już z druku **Nr. 2 (lipcowy) „Robotnika"**, organu P. P. S., o objętości, również jak N⁰ 1, -- 10 stron. Numer rozpoczynają dwa artykuły: „Mydlenie oczu" i „Anarchiści i ich działalność". Pierwszy wskazuje na nicość i obłudę rosyjskiego prawodawstwa fabrycznego i dowodzi, że „dopóki panuje nad nami rząd samowładny i najezdczy..... dopóty prawa fabryczne będą tylko mydleniem oczu". Drugi art. wykazuje, że anarchizm nie ma nic wspólnego z socyalizmem, i zwraca uwagę na nieudolne usiłowania rządu ros. w celu utożsamienia w oczach rządów Europy teroryzmu pol. i ros. z bezmyślnymi zamachami anarchistów. Dalej idzie nader ważna notatka agitacyjna, przypominająca, że obowiązująca ustawa ogranicza u nas dzień roboczy w zakładach rzemieślniczych do 10 godzin, — naturalnie, na papierze tylko. Resztę numeru wypełnia wiersz Cegiełki: „Skarga" oraz nader zajmująca „kronika krajowa" (nekrolog Sidorowicza, Warszawa, Białystok, Marki, Jeziorna, Wilno itd.), i działy: „Z za kordonu" tudzież „Kronika zagraniczna" (Niemcy, Szwajcarya, Anglia, Ameryka, wreszcie — „od redakcyi", pokwitowania i sprawozdanie kasowe Centr. Komitetu Robotniczego P. P. S. Z tego ostatniego dowiadujemy się, że w ciągu I półrocza r. b. C. K. R. miał dochodu 3113 rs. 85 kop. (w tem ze sprzedaży wydawnictw 877 rs. 65 kop.), wydatki zaś wynosiły — 3066 rs. 50 kop. (w tem: wydawnictwa i transporty 851 rs., drukarnia i N⁰ 1 Robotnika 1576 rs. 71 kop.). Z korespondencyi wileńskiej (w „kronice krajowej") widzimy, że strejk garbarzy wil., o którym pisał nasz korespondent w N⁰ 7 „Przedświtu", — zakończył się pomyślnie. Po 2 tygodniach bezrobocia robotnicy wywalczyli sobie podwyżkę płacy o 20 % (z 5 na 6 rs. tygodniowo).

Wreszcie zwracamy uwagę towarzyszy, chcących popierać organ P. P. S., czy pracą literacką, czy materyalnie, na ogłoszenie, które tu z tego numeru „Robotnika" przedrukowujemy:

„Towarzyszy, mieszkających za granicą, upraszamy komunikować się z Redakcyą i Administracyą „Robotnika" przez Zarząd Związku Zagranicznego Socyalistów Polskich. Dawn, 7 Beaumont Square Mile End. London E."

Całość „Robotnika" przedstawia się bardzo dobrze, a szybkie ukazanie się N⁰ 2 go po 1-ym napawa nas jak najlepszą otuchą na przyszłość.

(Obydwa pierwsze numery „Robotnika" są już do nabycia w administracyi „Przedświtu" po 50 centimów, 40 fen., 5 d.).

* * *

(XY). Warszawa. — Powtórne rozporządzenia zabraniające urzędnikom kolejowym w Królestwie Polskiem używania języka polskiego:

Iwangrodzko-Dąbrowska Dr. Ż. Zarząd — *Kopia.* (Cyrkularz)

Radom, 30 marca 1894.

Do P.P. Naczelników służby i oddziałów oraz do kancelaryi zarządu.

Wobec odwołania się P. Naczelnika Warszawskiego Żandarmsko-policyjnego Zarządu dróg żelaznych z dn. 15 lutego rb. Nr 788, iż pewna część służby kolejowej nie wykonywa rozporządzenia p. Ministra komunikacyi z dnia 12 maja 1889 r. Nr. 9, dotyczącego używania przez służbę kolejową*) przy spełnianiu obowiązków służbowych języka państwowego, jak również z powodu oświadczeń ze strony pracujących na kolejach, że powyższe rozporządzenie nie jest im znane, —

mam zaszczyt prosić Pana, abyś po otrzymaniu niniejszego cyrkularza każdemu obejmującemu posadę w powierzonem Panu wydziale komunikował istniejące przepisy o używaniu języka państwowego, oraz odbierał odeń zobowiązanie stwierdzone własnoręcznym podpisem, na formularzu, którego egzemplarz dołączam. Zobowiązania te przy przedstawieniu się nowego urzędnika Naczelnikowi Oddziału Żandarmskiego, lub Naczelnikowi Zarządu winny być przedłożone wraz z wiadomem wezwaniem na żółtem papierze, a następnie przechowane we właściwych oddziałach, lub w Warszawskim Żandarmsko policyjnym Urzędzie dróg żelaznych.

Zarządzający Dr. Ż. Inżynier Łachtin.
Naczelnik kancelaryi Pruchnicki.

—::—

Formularz, o którym wyżej była mowa brzmi jak następuje:

ZOBOWIĄZANIE

Ja niżej podpisany zaświadczam niniejszem Naczelnikowi (N.N.) oddziału Warszawskiego żandarmsko-policyjnego Zarządu kolejowego, że istniejące rządowe rozporządzenia o używaniu języka państwowego przez służbę kolejową są mi znane, z chwilą zaś przyjęcia mnie na służbę kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej obowiązuję się ściśle wypełniać te rozporządzenia zarówno przy sprawowaniu urzędu, jak i w stosunkach z publicznością i ze służbą kolejową — jakoteż używać w tych wypadkach wyłącznie języka państwowego. Co stwierdzam własnoręcznym podpisem.

miasto 189 r.

—::—

Jak donosi *Graždanin* (N⁰ 181 z b. r.) naczelnik ruchu drogi terespolskiej rozesłał telegraficznie wszystkim zawiadowcom stacyj i przystanków następujący cyrkularz:

„Często dochodzą mnie wieści, że służba ruchu podczas przebywania w biurach, magazynach i na torze kolejowym, w rozmowie między sobą i z publicznością ignoruje w dalszym ciągu postanowienie ministeryalne, ogłoszone w rozkazach naczelnika drogi z 23 grudnia 1893 r. Nr 261 i z 24 lutego 1894 Nr 36 — i pozwala sobie prowadzić rozmowę w języku polskim. Okoliczność ta zmusza mnie zapowiedzić służbie całej, iż nietylko zgodnie z rozkazem Nr 36 otrzymają dymisyę ci, którzy pozwolą sobie rozmawiać po polsku, ale również do uwolnienia przedstawiać będę najbliższych ich zwierzchników i naczelników stacyi, których obowiązkiem jest dopilnowanie tego, aby podwładni wypełniali rozporządzenia; o kontrolerach zaś ruchu będę zmuszony składać raporty Zarządzającemu drogą, jako o urzędnikach, którzy nie przyczyniają się do wprowadzenia na drodze terespolskiej języka *państwowego*."

* * *

Trzeci zjazd galicyjskiej partyi socyalno-demokratycznej

Odbył się w dniach 12, 13, 14 i 15 sierpnia b. r. Na porządku dziennym postawiono: 1) Prasa, 2) Or-

*) Żandarmi rzeczone rozporządzenie stosują nietylko do właściwej służby kolejowej t. j. urzędników etatowych i diurnistów, ale nawet i do posługaczy. Znanym jest fakt, iż jeden z posługaczy na dworcu lubelskim skazany został przez oficera żandarmskiego za przemówienie do pasażera po polsku na usunięcie od zajęć w ciągu 3 dni.

ganizacya, 3) Prawo powszechnego głosowania, 4) Skrócenie dnia roboczego na prowincyi, 5) Kwestya chłopska, 6) Nasze stanowisko do partyi demokratycznej.

W pierwszym dniu obrad po zagajeniu kongresu przez Żelaszkiewicza wybrano czterech przewodniczących: Mańkowskiego, Misiołka, Zingera i Kokoryana oraz czterech sekretarzy. Przedstawiony przez biuro wiecu regulamin przyjęto z małemi zmianami. Do udziału w obradach zgłosili się delegaci z Krakowa, Nowego Sącza, Białej, Morawy Ostrawskiej i rewiru Karwińskiego kopalni węgla, Przemyśla, Stryja, Stanisławowa, Ottynii, Kałusza, Tarnopola, Wiednia i Budapesztu wreszcie Lwowa i Czerniowiec.

Delegaci wschodnio-galicyjscy przedstawiali organizacye różnojęzyczne, np. delegat Bukowiny z Czerniowiec przedstawiał polaków, rusinów i niemców, z innych miast delegaci reprezentowali rusinów, polaków i żydów w jedne organizacye miejskie złączonych. Delegaci z Wiednia, Pesztu i Szląska austryackiego przedstawiali organizacye tamtejsze polskie. Oprócz delegatów wypełnili salę gimnastyczną szkoły ludowej im. Mickiewicza zaproszeni goście.

Po załatwieniu formalności udali się wiecujący wraz z zebranemi stowarzyszeniami pochodem pięciotysięcznym na cmentarz Łyczakowski. Na czele każdej grupy politycznej lub stowarzyszenia niesiono wieniec z dębowych liści z czerwonemi szarfami. Na cmentarzu, pomimo deszczu, otoczyły tłumy pomnik Bolesława Czerwieńskiego, twórcy pieśni: „Czerwony Sztandar“. Pomnik formy obelisku z białego kamienia ma 4,50 mtr. wysokości. Na iglicy godło: na lirze dwie ręce w uścisku, młot i pióro, u dołu portret Czerwieńskiego. Na stopie obelisku napis: „Bolesław Czerwieński ur. 3. 4. 1851 zmarł 8. 4. 1888. Żyje wraz z pieśnią.“ Na cokole wykuto: „Autorowi Czerwonego Sztandaru polska partya socyalistyczna wszystkich trzech zaborów i Ameryki. 1894.“

Imieniem komitetu budowy pomnika oddał go w pieczę partyi i matce zmarłego Żelaszkiewicz, poczem Mańkowski w przemówieniu podniósł wartość pieśni robotniczej, zasługi poety współczującego z klasą robotniczą i usługi jej oddane przez zmarłego.

Podczas pochodu tylko komisarze policyjni zdala czuwali nad porządkiem. Żołnierzy policyjnych nie było i komisarze tylko do bramy cmentarnej odprowadzili pochód; tym dwóm okolicznościom przypisać należy, iż uroczystość przy śpiewie „Czerwonego Sztandaru“ odbyła się poważnie i nadzwyczaj spokojnie.

Po południu trwały narady do wieczora. Reger z Krakowa zdawał sprawę z ruchu w Zachodniej Galicyi i okolicach Szląska, gdzie polacy zajęci są w kopalniach i hutach.

Ilość odbytych zgromadzeń publicznych tak zawodowych jak i partyjnych wynosi 89, rozwiązanych lub zabronionych 24, zgromadzeń poufnych 165, rozwiązanych 7. Liczba ta nie zupełnie dokładna, jest ona raczej za nizka, niż za wysoka. Zawodowe stowarzyszenie piekarzy w Krakowie ma 200 członków i filię w Tarnowie; istnieje też filia wied. stow. pilnikarzy w Krakowie. Obok stowarzyszeń dla kształcenia robotników założono w Krakowie żyd. stow. „Brüderlichkeit“. W Białej i Bielsku należą polacy do zawodowych związków metalurgicznych i wyrobów z drzewa. Zawodowo w stow. zorganizowani są jeszcze krawcy, szewcy w Krakowie, kolejarze w Nowym Sączu. Polityczne stow. „Proletaryat“ jest w zawiązku po wygranym rekursie o zatwierdzenie statutów.

Strejki warsztatami pojedyńczymi były na porządku dziennym u szewców po kilka razy z małym skutkiem; strejk murarzy w maju nie udał się całkowicie, prze trwawszy 2 tygodnie, gdyż nacisk policyi na strejkujących był wielki; zupełną wygraną zakończył się strejk piekarzy; udał się strejk robotników w fabryce świec w Tarnowie, upadły zaś bezrobocia stolarzy w Białej i tapicerów w Krakowie.

Fundusz prasowy w roku ubiegłym okazał obrót 2.716 flor. 60 cent., zaś za 2 kwartały 1894 r. 1.722 fl. 48 ct. Fundusz agitacyjny w ciągu roku od zjazdu zeszłorocznego — obrót (przychody i wydatki) 1.111 fl. 46 ct. Fundusz ofiar — 889 fl. 22 ct.

Aresztowanych było w 1893 r. osób 23, które przesiedziały 180 dni w więzieniu; za zwoływanie zgromadzeń oskarżono 7, z tych tylko jednego policyjnie skazano na 5 dni aresztu; za kolportaż pism w 19 procesach skazano na kary 240 fl. i 4 dni aresztu, odbyto 5 rewizyi policyjnych wyroków, co kosztowało 50 fl., do tego wydalono z Krakowa 2 krajowców i kilku zakordonowców.

W r. 1894 było 15 aresztowanych, którzy przesiedzieli na śledztwie 528 dni; prasowych procesów 80, wyroki w nich opiewały karę 10 fl. Policya bez sądu skazała w 8 wypadkach na 47 dni aresztu za śpiewanie pieśni, na 17 dni za zbieranie składek, ogółem na 342 dni aresztu policyjnego.

Kopytyński z Pesztu uzupełnia, że stow. „Siła“ rozwija się pomyślnie pomimo, że patryota p. Połjanowski usilne robił starania w policyi, żeby rozwiązać stowarzyszenie, które obok istniejącego już polskiego patryotycznego nie powinno być cierpiane. Kokoryan z Wiednia, że „Siła“ liczy 200 członków, że na całą polonię wiedeńską zaledwie dwóch inteligentów zajmuje się kształceniem robotników w stowarzyszeniu.

Dr Lezer mówi o Ostrawskich stosunkach. Zinger (mówi po morawsku) prostuje jego zdaniem przesadzone cyfry i twierdzi, że należałoby robotników polskich na Szląsku i Morawie wyszkolić naprzód w zawodowych stowarzyszeniach, do których robotnicy śmielej i z większym zaufaniem przystępują, a dopiero później zorganizować ich politycznie. Wywiązała się krótka dyskusya co do pierwszeństwa zawodowych czy politycznych organizacyi, a skończyła się zdaniem, że mogą one iść równolegle. Do zorganizowania polskich robotników na Szląsku i Morawie pomógł bardzo strejk majowy o 8-godzinny dzień roboczy w kopalniach. Okupiliśmy ofiarami wystąpienie górników, lecz bez tego nie mielibyśmy dziś w zawodowem stow. przeszło 5 *tysięcy* członków. Stowarzyszenie nosi nazwę „Prokop“ patron górników).

Sprawozdanie z ruchu w okręgu wschodnio-galicyjskim przedstawia Czerski. Zawiązane stowarzyszenie polityczne „Proletaryat“ weszło w życie i wystąpiło na zewnątrz z pochodem i zgromadzeniem publicznem. Takich zgromadzeń, przez partyę zwołanych, we Lwowie było 19, poufnych partyjnych i zawodowych 87. Na prowincyi publicznych 23, poufnych 37.

Fundusze organizacyi za ubiegły rok od II zjazdu galicyjskiego przedstawiają się: prasowy (obrót roczny) 1.984 fl. 91 ct., agitacyjny — 2.841 fl. 55 ct., wydawniczy — 425 fl. 92 ct., ofiar ruchu — 184 fl. 24 ct. Koszt budowy pomnika Czerwieńskiego 226 fl. (nie całkowicie pokryty).

W tym samym czasie było 15 aresztowań na prowincyi, 12 rewizyi, aresztu śledczego 1.170 dni (ani jednego dnia z wyroku), 4 procesy o kolportaż (uwolnieni) i wyrok policyjny na 7 dni aresztu i 20 fl. kary. Wielki proces o 1 maja jest w toku.

Zorganizowane stow. zawodowe robotników budowlanych „Ogniwo“, stolarzy „Zgoda“ i handlowców we Lwowie, w zawiązku — szewców i piekarzy; zawodowe stow. kolejarzy we Lwowie i Stanisławowie. Innych zawodowych stowarzyszeń na prowincyi niema oprócz Bukowiny (Czerniowiec), dla robotników ubrań i w drzewie.

Staraniem Partyi wyszły z druku; „Czego chcą soc. demokraci“ (5.000 egz.), „Do pozbawionych praw“ (5.000), Kalendarz robotniczy (3.000), po żydowsku

w żargonie jedna broszura w 500 egz., Historya rozwoju partyi soc. w Galicyi (1.500 egz.), prócz tego rozrzucono kilka tysięcy egz. listu ks. Ściegiennego i pisma „Do młodzieży“ (oba ostatnie wydawnictwa drukowane zagranicą).

Z bastówek udał się strejk robotników budowlanych całkowicie, upadł zaś piekarzy żydowskich i masarzy wskutek braku organizacyi poprzedniej i środków do walki.

Sprawozdanie o prasie przedstawia Fraenkel. N. Robotnik odbija się w nakładzie 1.300 egz. w czasach ostatnich i koszta są pokryte. Niedługo doprowadzimy do tego, że wydawnictwo będzie dawało nadwyżkę. Żargonowe pismo „Arbeiter“ tłoczy się w 500 egz. „Naprzód“ w 1.900 egz., lecz rozwój agitacyi na Szląsku wymaga nietylko w niedługim czasie nakładu większego, lecz i częściej wychodzącego pisma.

Stawia on 3 wnioski: 1) przemiany dwutygodnika „Naprzód“ na tygodnik, jak tylko będzie można najprędzej; 2) założenia pisma satyryczno - politycznego we Lwowie, jako organu partyjnego; 3) uchwalenia podziękowania ustępującemu z redakcyi Hudecowi. Wnioski zjazd przyjął. Wniosek Merklingera, aby wydawano trzeci dwutygodnik, Czerskiego i Löwenherza, aby „N. Robotnik“ omawiał sprawy naukowo - teoretyczne a „Naprzód“ aby zajmował się bieżącemi sprawami partyjnemi, zjazd odrzucił.

Sprawę organizacyi referuje dr. Lezer z Krakowa: Wielki napływ taniego robotnika galicyjskiego do Szląska i Morawy szkodził organizacyom tych dwóch krajów, a pomimo to odnośne zarządy partyi nie starały się zaradzić złemu, aby zorganizować polaków przy pomocy krakowskiej organizacyi. Trudności językowe przy porozumiewaniu się z polskimi robotnikami dziś usunięto, gdyż polscy mówcy dojeżdżają do rewirów, w których polacy pracują. Referent zgadza się, aby w stow. zawodowych pozostali i nadal polacy. Różnica językowa w tych stowarzyszeniach zapomogowych nie odczuwa się tak dotkliwie, jak przy agitacyi politycznej. Tutaj mówca powinien być dobrze zrozumianym, aby agitacya pożądany odniosła skutek. Stawia do przyjęcia zarys organizacyi, który oddany komisyi do poprawienia przyjęto następnie w tej treści: Organizacya polaków na Szląsku i Morawie opiera się na zarządzie organizacyi krakowskiej, która znosi się przy wspólnem działaniu z zarządami w Bernie (Morawa) i Cieszynie (Szląsk austr.).

Organizacye tworzą na miejscu mężowie zaufania, wybrani z pośród polskich robotników t. j. stow. zawodowych i grup (po 300) górników.

Rubinstein wnosi, aby zaostrzyć uchwałę, niedozwalającą stawiania sobie przeszkód i wytwarzania zajść nieprzyjemnych między robotnikami chrześcianami i żydami. Zjazd powołał się na uchwałę kongresu austryackiego i dodał, że nie można pojedyńczych zajść w „Sile“ krakowskiej kłaść na karb ogółu członków partyi.

Omawiano sprawę organizacyi politycznej ceglarzy z poza Krakowa, liczących się przeszło na 2.000 robotników, a Hudec uzupełnia sprawę o organizacyi w ten sposób, ażeby zjazd polecił zakładanie stowarzyszeń na prowincyi, w miarę uznania, już to zawodowych, już to dla kształcenia, zależnie od tego, które byłyby korzystniejsze dla partyi. Rezolucyę w tym duchu przyjęto.

Przy powszechnem głosowaniu dr. Lezer omawia stosunki partyi soc. dem. do rządu i przychodzi do wniosku, że brak stanowczości rządu i widoczna niechęć do ustępstw zmusza robotników do postawienia sprawy na ostrzu miecza. Wobec złej woli stronnictw koalicyjnych zmuszeni jesteśmy do strejku masowego. Dążymy do niego, nie cofniemy się i widocznym tego znakiem powinno być gorliwe zbieranie składek. Diamant sprzeciwia się temu: w tak ryzykownem i masowem dziele składek i funduszów nie nastarczylibyśmy. Tam gdzie się stawia wszystko na kartę, nie można myśleć o długiej walce i zaopatrywaniu strejkujących. Jesteśmy zdecydowani na wszystko; jeśli rząd ustępstw nie porobi, gotowiśmy nawet stawiać barykady.

Rezolucyę o strejku masowym przyjęto jednogłośnie.

O skróceniu dnia roboczego na prowincyi do 10 godzin referował Danek. Opłakane stosunki organizacyi politycznej i zawodowej są skutkiem nadmiernie długiego czasu roboczego, który trwa 14 - 18 godzin. Jeżeli ustawa przemysłowa bierze w obronę robotników fabrycznych, to zupełnie pozostawia robotników w przemyśle drobnym i domowym dowolności majstrów, którzy chcieliby w nieskończoność przeciągnąć czas roboczy. W braku wszelkiej kontroli praca taka wyczerpuje siłę robotnika prowincyonalnego, który przy niskim stopniu oświaty pozwala się wyzyskiwać i coraz bardziej zagradza sobie drogę do uświadomienia klasowego. Stawia wniosek, ażeby dążyć do zaprowadzenia, jak należy, na prowincyi 10-godzinnego dnia roboczego.

Zinger sprzeciwia się temu, gdyż zgodnie z programem międzynarodowym czas 8-godzinny na dobę powinien być celem naszych dążeń. Tam gdzie się pracuje 14 - 18 godzin czas 10-god. jest równie odległy, jak 8-godzinny. Dla wątpliwych więc korzyści nie poświęcajmy programu. Przyjęto wniosek komisyi, aby jaknajszerszą wytworzyć agitacyę za skróceniem dnia roboczego, mając na oku zawsze najkrótszy dzień roboczy o 8 godzinach.

W sprawie chłopskiej referuje Kozakiewicz. Przedstawiwszy projekt programu „Chłopskiego stronnictwa soc. demokratycznego“, uzasadnia potrzebę takiej organizacyi w kraju nawskroś rolniczym, jakim jest Galicya.

Z cyframi w ręku pokazuje proletaryzacyę chłopa, ugniatanie go przez wielką własność, nadmierne obciążanie przez rząd, lichwiarzy i banki. Dowodzi konieczności zniesienia prywatnej własności, która u chłopa mającego do 5 morgów jest złudzeniem. Podaje przykłady kolektywnej własności w kantonach Szwyc i Uri w Szwajcaryi na dowód, że forma ta posiadania jest nawet wobec konkurencyi prywatnej własności możliwą. Uzasadnia dalszych kilkanaście punktów programu „minimum“ i żąda, aby komitety postarały się o nawiązanie stosunków z chłopami — szczególnie z mazurskimi, których na zjeździe niema, i wespół z nimi przedłożyły dokładnie opracowany program przyszłemu zjazdowi. W rozprawach nader cenne wskazówki w przedmiocie agitacyi i jej przeszkodach podaje dr. Trylowski z Kołomyi, członek ruskiej partyi radykalnej, zaproszony jako gość na zjazd. Powiada on, że ideałem tej partyi jest również własność kolektywna, oparta na gromadzie, jako pierwszym stopniu organizmu społecznego. Wyraża swoje zadowolenie, że partya nareszcie zrozumiała konieczność zorganizowania chłopów około czerwonego sztandaru. Wypracowanie ostatecznego planu polecono obu organizacyom.

Stanowisko partyi soc. demokratycznej do t. zw. demokratycznej omawia Daszyński, jako punkt ostatni porządku dziennego. Wykazuje, że u nas nic niema mniej demokratycznego nad ludzi z rozmaitych klas narodu podporządkowanych pod tę nazwę. Jest ona raczej stekiem ludzi przewrotnych, nawskróś rządowych lub słabych, uczciwszych, którzy nie mogą się oprzeć naciskowi z góry.

Organy tych partyi — choć na rozmaite nuty — śpiewają tę samą piosnkę zwalczenia radykalnych dążeń, walki na zabój z socyalizmem międzynarodowym. Zgnilizna częściowo udziela się i młodzieży, która dla ludu wiejskiego pracować myśli. Piętnuje pojedyńcze

odcienia tych demokratów (klerykalnych, mieszczańskich, chłopskich) i charakteryzuje pojedyńcze osobistości w wesoły sposób.

Zjazd żegna w imieniu delegatów obcych Kokoryan i Mańkowski.

Zjazd miał doniosłe znaczenie przez wyświetlenie sprawy organizacyi na Szląsku i Morawie i rozpoczęcie działania wśród chłopów choćby tylko na razie teoretycznym poglądem na tę zawiłą kwestyę.

W dniu 14 odbyło się wieczorem zgromadzenie ludowe w ratuszu, na którem wśród natłoku przemawiali przeważnie obcy mówcy 1) za strejkiem masowym, 2) za skróceniem dnia roboczego.

Z licznych pism i telegramów pominąć nie można pisma powitalnego od 156 landwerzystów pod bronią stojących, pisma z Bulgaryi z zwrotką oryginalną „Czerwonego Sztandaru", pisma robotników warszawskich, zarządu partyi wiedeńskiej, listu posła Pernerstorfera.

Obrady trwały półczwarta dnia, przez dwa dni po 3 posiedzenia dziennie do późna w nocy.

Lwów, 19 sierpnia 1894. *ik.*

* * *

Parę słów o świadomości politycznej proletaryatu polskiego.

Było to przed 4 laty, w epoce najbardziej zaciętych sporów między Proletaryatem a Związkiem. Będąc wówczas bardzo świeżym jeszcze zwolennikiem Proletaryatu, brałem w tych sporach udział z całym zapałem neofity. Zdarzyło mi się wtedy raz rozprawiać z również młodym, jak i ja, związkowcem. Obaj byliśmy studentami, o robocie praktycznej pojęcia nie mieliśmy i dyskutowaliśmy wyłącznie na podstawie książek i odczytów. Ja zarzucałem memu interlokutorowi, że Związek w swej działalności nie posiada wcale programu politycznego i nie pracuje nad skierowaniem robotników ku walce politycznej.

„Kiedy robotnicy żadnych aspiracyi politycznych nie posiadają — brzmiała odpowiedź — robotnika naszego interesuje przedewszystkiem kwestya zarobku i dnia roboczego i na tej podstawie najłatwiej jest go zorganizować". „Ależ to wasza wina — odrzekłem mu na to — wy właśnie nie mówicie nic robotnikom o ucisku politycznym, wychowujecie go w zupełnej nieświadomości pod tym względem i przyczyniacie się do jego obojętności na sprawy polityczne. Jeżeli robotnicy nie zdają sobie sprawy z ucisku politycznego i z potrzeby walki z rządem, to naszym obowiązkiem jest oświecić ich".

Nie pamiętam już, co mi mój przeciwnik na to odpowiedział, ale prawdopodobnie rozeszliśmy się, nie przekonawszy się wzajemnie o wyższości którejkolwiek z metod „wychowywania" robotników, których na szczęście nikt nam nie pozwalał wyprobowywać na praktyce.

Z czasem życie miało mnie przekonać, jak naiwne były moje ówczesne rozumowania o konieczności „budzenia wśród robotników potrzeby oporu przeciwko uciskowi politycznemu". Stykanie się z robotnikami przekonało mnie niejednokrotnie, że czują oni ucisk rządowy wcale nie gorzej od nas, inteligentów, a często daleko lepiej i intensywniej.

I oto teraz stanęła mi w pamięci ówczesna rozmowa, gdym dostał do rąk cały pakiet danych, tyczących się położenia klasy robotniczej i zebranych przez samych robotników. Dane te są niezmiernie ciekawe i dostarczą materyału do wyczerpującego studyum, ale zanim zostaną opracowane, muszę się podzielić z czytelnikami Przedświtu jedną ich cząstką, mianowicie odpowiedziami robotniczemi, tyczącemi się stosunku ludu do rządu i zebranemi w jednem z miast Litwy.

Miasto to posiada proletaryat niezmiernie ubogi. Płaca przeciętna waha się tam między 4 i 6 rs. na tydzień, praca zaś kobiet wynagradzaną jest niekiedy tylko *dziesięcioma złotymi* na tydzień. Przy tak okropnych stosunkach ekonomicznych nie byłoby wcale dziwnem, gdyby stopień świadomości politycznej nie był bardzo wysokim. Rzeczywistość zaprzecza temu całkowicie.

Z bogatego zapasu statystycznego wyjmuję tu odpowiedzi, dawane przez robotników na następujące pytania:

a) Czy istnieje jaki nadzór rządowy nad warunkami hygienicznymi w fabryce?

b) Czy są jakie prawa, dotyczące pracy dzieci? Czy pracodawcy stosują się do tych praw?

c) Czy rząd zmusza pracodawców do wykonywania praw, dotyczących pracy? Czy inspektorowie rządowi spełniają swe obowiązki?

Odpowiedzi podaję dosłownie, zmieniając tylko ortografię:

Nº 1. a) Żadnego nadzoru niema.

b) Rząd nie czuwa, i pracodawca nie stosuje się do niczego.

c) Rząd nie zmusza pracodawców do wykonywania praw, dotyczących pracy, inspektorowie nie wypełniają obowiązków.

Nº 2. a) Są inspektorzy po temu, lecz tylko pod pozorem (pozornie), gdyż gdyby nawet widział te nieporządki, to nic nie mówi, bo bierze łapówkę od fabrykanta.

c) Kiedy przyjechał, to był tylko w kantorze, na salach nie był

Nº 3. a) Nadzór policyjny wcale u nas nie istnieje.

b) Pracodawca nie stosuje się do tych praw, rząd nie czuwa nad ich wypełnieniem.

c) Rząd wchodzi w zmowę z pracodawcą, ulgi robotnikom nie daje, w rezultacie grozi im nahajem i więzieniem; zmusza robotnika do wykonywania prawa, a inspektorowie nie spełniają swoich obowiązków.

Nº 4. a) Była wielka wilgoć i smród na salach, że robotnicy sami się domagali czystości; gubernator był raz na salach i poczuł ten smród, w taki sposób zawstydził przedsiębiorcę i kazał urządzić wentylacyę.

Nº 5. a) Inspektor fabryczny przyjeżdża raz w rok, albo i nie, to od jego woli zależy.

b) Nie chodzi u inspektora o nadzór dzieci, ale głównie o dobre wynagrodzenie przez przedsiębiorcę.

c) Nie zmusza; inspektorowie nie wypełniają swych obowiązków.

Nº 6. b) Nie znamy żadnych praw, bo nie są one ogłoszone.

c) Żadnego inspektora nie widzimy tu, który by wchodził w położenie robotnika.

Nº 7. Odpowiedź na inne pytanie: Z tego akordu, który nam obrywają, budują ikonostasy cerkiewne bramy wchodowe, ogrodzenia, dają prezenty żandarmom, popom i różnym szpiegom, które wynoszą według naszego obrachunku do kilku tysięcy rubli rocznie.

Wszystkie te odpowiedzi, wyjąwszy Nº 4, pokazują, że robotnicy zdają sobie doskonale sprawę z tego, że przedstawiciele rządu są naturalnymi obrońcami kapitalisty, prawa zaś i ich wykonanie mają na widoku wyłącznie tylko interes tego ostatniego. Takie same odpowiedzi usłyszelibyśmy prawdopodobnie we wszystkich miejscowościach Polski, gdzie kapitalizm istnieje i zdołał pouczyć nasz lud o właściwej roli rządu,

Ale co jeszcze ciekawe jest w tych odpowiedziach, to okoliczność, że tyczą się one wszystkie inspektoratu fabrycznego, owego dziecka carskiej demagogii, które miało przekonać robotników o dobrych zamiarach rządu. Logika faktów zrobiła swoje. Urzędnik carski, przez nikogo, oprócz podobnych sobie zwierzchników, nie kontrolowany, musiał stać się jednem jeszcze kółkiem wielkiej maszyny, której przeznaczeniem jest

obrona kapitału. W każdym razie, jakkolwiek odpowiedzi te były do przewidzenia, jednak — przyjemnie jest znaleść jeszcze raz potwierdzenie tego faktu, że w większej części wypadków robotnika naszego nie potrzeba wcale przekonywać o tem, że rząd jest jego wrogiem. Wystarczy pokazać mu, co trzeba robić, by módz z czasem pozbyć się tego wroga.

BIBLIOGRAFIA

O bezwychodnosti ukrainskawo socyalizma w Rossii, przez O. P. Genewa, 1891.

Stara to stosunkowo rzecz, ale tak charakterystyczna, że warto o niej i teraz wspomnieć.

Książkę podzielić można na dwie części. W pierwszej autor rozpatruje dzisiejszy kierunek specyficznie ukraińskiego socyalizmu, takiego, jakim go stworzył wpływ socyalizmu „rosyjskiego" i ukrainofilstwa. Ta część zawiera dużo zdrowych myśli i czyta się z przyjemnością; szczególniej niektóre stronice, poświęcone krytyce mieszaniny chłopomanii i anarchizmu bakuninowskiego, która w Rosyi przez długi czas uchodziła za socyalizm, — są bardzo dobre. Autor wskazuje, w jaki sposób ów socyalizm rosyjski przedostał się, za pośrednictwem osławionego prof. Dragomanowa, do literatury ukraińskiej. Malując wpływ ukrainofilstwa zarówno na „Hromadę" prof. D., jak i na teraźniejszych działaczy, autor zbija niejeden fałsz historyczny, który otrzymał wśród rusinów prawa obywatelstwa dzięki p. D., w rodzaju np. republikańskiego demokratyzmu Bogdana Chmielnickiego i kozaków zaporoskich, samodzielnego rozwoju literatury ukraińskiej w wieku XVIII itp. Jednak już tu trudno zgodzić się z wywodami autora, który odmawia zupełnie ukraińcom możności utrzymania swego języka i skazuje ich na nieochybną rusyfikacyę. W każdym jednak razie jest to kwestya poglądu i ma więcej znaczenia dla rusinów niż dla nas.

Ale oryginalny i zupełnie niespodziewany jest zwrot autora do rusinów galicyjskich, w którym on doradza im wyrzeczenie się języka rusińskiego i przyjęcie..... rosyjskiego. Zwrot ten nabiera tem większego znaczenia, iż broszura dedykowana jest II-mu zjazdowi ukraińskiej partyi radykalnej.

Tu odstąpimy na chwilę od przedmiotu. W pierwszych miesiącach po ogłoszeniu naszego programu rozprawialiśmy nieraz o nim publicznie i prywatnie wobec socyalistów cudzoziemskich. Podczas jednej z tych rozpraw autor (któremu, zresztą, oddać trzeba tę sprawiedliwość, że w innych wypadkach bronił naszego programu wobec napaści różnych rosyjskich patryotów z... Wilna, Szkłowa itp.) wyraził obawę, że w razie zwycięstwa będziemy gnębili biedną narodowość rusińską i nie bardzo dał się przekonać naszymi argumentami, że w programie socyalistów polskich zarówno „całkowite równouprawnienie narodowości", jak i ich prawo do dowolnego rozporządzania swym losem wyraźnie są zastrzeżone, oraz że nawet w szlacheckiej Galicyi rusini mają gimnazya, katedry uniwersyteckie itd., gdy w Rosyi nie mogą nawet drukować książek w swym języku. Ale cóż powiedzieć, wobec obawy polonizacyi rusinów, o programie, który wprost zaleca im dobrowolną rusyfikacyę?

Jak autor mało się zastanawiał nad polityczną stroną swej propozycyi, dowodzi, iż uważa on „za zjawisko znamienne i w najwyższym stopniu sympatyczne — stosunek bratersko-tolerancyjny radykałów rusińskich do budzącego się (w Galicyi) moskwofilizmu" (str. 39). Zatem niech radykali rusińscy łączą się z reakcyjnymi moskalofilami, niech przez przyjęcie języka rosyjskiego na roścież wrota propagandzie carskiej otwierają, byle nie łączyć się z polakami, którzy „chcą zjeść ich narodowość". W końcu autor radzi radykałom rus. porzucić ich program dotychczasowy i wziąć się do propagandy socyalizmu naukowego.

Nie, towarzyszu O. P., nie taką drogą powinien iść socyalista ukraiński. Przyjęcie języka rosyjskiego uniemożebniłoby mu propagandę socyalizmu w szerokiem słowa tego znaczeniu. Gdyż propaganda taka może być prowadzoną tylko w języku, zupełnie dla ludu przystępnym, i człowiek, któremu idzie o rezultaty praktyczne nie zaś o doktrynę, przedewszystkiem na to powinien zwrócić uwagę.

Nie będziemy tu wcale rozbierali kwestyi, czy język ukraiński jest językiem, czy narzeczem, i czy posiada on jaką przyszłość; pozostawiamy to lingwistom. Ale już w żadnym razie nie może doradzać przyjęcia specyalnie języka rosyjskiego człowiek, dla którego drogim jest rozwój socyalizmu na Rusi. Przyjęcie tego języka stanowiłoby wybudowanie muru między ludnością rusińską oraz polską, i uniemożliwiłoby socyalistom polskim wywieranie jakiegokolwiek wpływu na robotników rusińskich. Byłoby to bez wątpienia stratą niepowetowaną dla rusinów galicyjskich, gdyż polacy potrafili tam stworzyć stosunkowo poważny ruch socyalistyczny, z którym związek ułatwiłby socyalistom rusińskim robotę w znacznym stopniu. A na miejscu socyalistów polskich zjawiłyby się tem liczniej, kreatury w rodzaju Olgi Hrabar i jej towarzyszy, stanowiące dotychczas właśnie najenergiczniejszych agitatorów moskwofilizmu. Wątpię, czyby socyalizm rusiński na tej zamianie zyskał.

A. W.

* *

Przepisy postępowania i wskazówki dla działaczy rewolucyjnych pod caratem rosyjskim. Wydawnictwo Polskiej Partyi Socyalistycznej. W drukarni Związku Zagranicznego Socyalistów Polskich. 1894.

Świeżo wyszła broszura ta zadość czyni oddawna powszechnie uczuwanej potrzebie. Spis rzeczy obejmuje następujące rozdziały: Wstęp. — Zachowanie się na wolności. — Zachowanie się na śledztwie. — Instytucya żandarmeryi. — Organizacya szpiclów. — Rosyjska procedura karna w sprawach politycznych. — X Pawilon — Język murów. — Pawiak. — Krest.

Broszura ma 96 stron formatu 16-ki i kosztuje 3 d. lub 30 centimów, lub 25 fenigów.

Dla ułatwiania przesyłki pieniędzy i korespondencyi odbiorcom amerykańskim **ajentury Przedświtu na Amerykę podjął się ob. Wł. Fiszler. Adres: 64. E. 4-th Str. New York N Y.**

Upraszamy Szanownych odbiorców o przesyłanie prenumeraty i listów na jego ręce.

TREŚĆ: Etapy. I. — Polska w Ameryce. — Areszty w Rosyi. — Z kraju i o kraju: Warszawa, w sierpniu № 2 Robotnika. Cyrkularze zabraniające służbie kolejowej używania języka polskiego. Trzeci zjazd galicyjskiej partyi socyalno-demokratycznej. Parę słów o świadomości politycznej proletaryatu polskiego. — Bibliografia: O bezwychodnosti ukrainskawo socyalizma w Rossii. Przepisy postępowania i wskazówki dla działaczy rewolucyjnych pod caratem rosyjskim.

Printed & published by Al. Dębski. Beaumont Square № 7 Mile End Rd. — London E.